

JOSE CAYUELA

Wyznania czarownic

WYDAWNICTWO 4 & F

WARSZAWA

1990

Tytuł oryginału:
LA CONFESIÓN DE LAS BRUJAS

Przełożyła i opracowała:
ZOFIA SIEWAK-SOJKA

BIBLIOTECZKA WIEDZY TAJEMNEJ II
Scan By Bug for Torrenty.org

Okładkę projektował:
KRZYSZTOF TYSZKIEWICZ

Copyright 1980 by Jose Cayuela
Copyright 1990 by Wydawnictwo 4 & F

WSTĘP

Jakie drogi prowadzą w świat magii? Co nakazuje mężczyznom i kobietom w każdym wieku i każdego stanu udawać się do konsultorium spirytystki, znachora, jasnowidza czy kabalarki?

Zapisano całe biblioteki, próbując wytłumaczyć to zjawisko. Antropologowie i socjolodzy wędrowali w dżungle i niedostępne góry, aby zgłębić problem trwającej tysiąclecia mocy czarowników, owych niezwykłych istot, których doświadczenie sięga jakże starszych korzeni niż wiedza lekarza czy kapłanów. Przystudiowano już, drobniawczo i dogłębnie, więzy pomiędzy magią a nauką, pomiędzy magią a religią.

Moje poszukiwania szły jednakowoż w innym kierunku. Postawiłem przed sobą zadanie odnalezienia tych niezwykłych ludzi żyjących w aglomeracjach miejskich Ameryki Łacińskiej, terenu na sprawy magii najbardziej podatnego. Stare porzekadło „Ci, co znają czary, nic nie mówią, a ci, co dużo mówią, nic nie wiedzą” nosi w sobie

dreszczyk tajemnicy i aurę grzechu — największe atrakcje ezoterycznego świata — oraz ryzyko. Bowiem magia w swej najczystszej formie jest prawie niedostępna. Dotarcie do czarownika lub znachora, „nie skażonego cywilizacją” członka plemienia puszcz Amazonii pochłonąć może wiele lat i kosztowało życie wielu eksploratorów. Chociaż sam kontakt w tej całej sprawie jest rzeczą najłatwiejszą! Ale wyuczyć się języka, zdobyć zaufanie i przezwyciężyć bariery kulturowe, to już prawdziwa bohaterska batalia.

Moje wysiłki nie miały w sobie nic bohaterskiego. Nie musiałem płynąć piragą, narażać się na pożarcie przez piranie, ukąszenia moskitów, uduszenie przez boa lub śmierć w paszczy krokodyla, aby dotrzeć do czarownika dysponującego hermetyczną tysiącletnią wiedzą, otoczonego setką Indian. Również nie próbowałem leczyć swoich kompleksów czy melancholii, mniej lub bardziej skrywanych, ucieczką w halucynacje, spowodowane grzybami albo ziołami, trzymany za rękę przez mędrca lub mędrczynię z wypalonych i jałowych gór Meksyku, czy też wstąpić w światy magii latynoamerykańskiej, jakimi są haitańskie *vudu* i brazylijska *macumba*.

Celem moich wysiłków było poznanie „miejskich” czarowników, żyjących w każdej dzielnicy wielkich miast Ameryki Łacińskiej, którzy wstydliwie, choć mają swoje osiągnięcia, przyjmują pacjentów z chorobami duszy i ciała i równocześnie odrzucają ciekawskich i profanów goniących za wielkimi sensacjami, byle zdobyć materiał do czasopism i wydawnictw brukowych. Bowiem czaro-

wnicy mają swój honor i nie tylko zarabiają na życie, ale uważają swą działalność za ważną misję, odrzucają więc wszelką reklamę za pośrednictwem wywiadów i reportaży. Wiadomość podawana z ust do ust wystarcza im z zupełnością, aby zdobyć pacjentów (nigdy nie używają nazwy „klienci”) ze wszystkich warstw społecznych: od zawiedzionych w miłości fryzjerek i sekretarek do pań z milionami, chorych na nieuleczalne choroby lub przeświadczonych, iż rzucono na nie złe czary, również zaalarmowanych rozszerzaniem się konkurencyjnego kultu księży, a nawet biskupów (jeden z nich stale współpracował z pewną kobietą, medium z Caracas — jego nazwisko obiecałem zachować w tajemnicy), także zwykłych marzycieli o wielkiej wygranej w loterii, wyścigach konnych oraz finansistów i przemysłowców niezdolnych do podjęcia decyzji bez „porady”.

Okazuje się, że moi bohaterowie posiadają nieograniczoną władzę. Z ogromnym zdziwieniem znajdowałem moich magicznych bohaterów spoufalconych z całą elitą towarzyską Wenezueli, Kolumbii, Ekwadoru i Meksyku. Byli przyjaciółmi i protegowanymi (a może raczej protektorami?) generałów, członków parlamentu, kacyków politycznych, prezydentów oraz pierwszych dam republik. Wiele razy widziałem tych ludzi w konsultoriach czarowników — najwyraźniej panów ich woli. Dzięki paru niedyskretnym pacjentom mogłem wyliczyć, że dzienne dochody uzdrowicieli sięgały granicy stu, stu pięćdziesięciu dolarów. Bardziej szczerzy bez zbędnego wstydu

podawali mi swoją takse, ale w żadnym przypadku nie dopuścili najmniejszej insynuacji, jakoby uprawiali rzucanie czarów lub czarną magię. „Czary są sprawą diabła, a ja pracuję z pomocą Boga!” Były to odpowiedzi, a raczej protesty, jednogłośnie. Wszyscy moi bohaterowie czują więź z Bogiem i kochają Jezusa Chrystusa. Niemniej religia, jaką wyznają i praktykują, jest mieszaniną chryścianizmu i rytuałów oraz wierzeń zwanych przez katolików starej daty pogańskimi. Zjawisko synkretyzmu najbardziej widoczne jest w Wenezueli, gdzie kubańska *santeria* — czyli obrzędy spadkobierców afrykańskiej tradycji yoruba na Kubie połączone z wiarą w świętych katolickich — wtargnęła do wierzeń kreolskich, to znaczy, zmieszanych w przeszłości elementów religii indiańskich i hiszpańskiego katolicyzmu. Wystarczy pójść na odpust dwunastego października¹ albo w Wielki Tydzień znaleźć się na świętej górze Sorte w stanie Yaracuy, aby nie wyjaśniać, co to jest synkretyzm. Tam, jak powiedział Nicolás Guillen, wszystko się miesza: modlitwy do bogini Marii Lionzy pochodzenia indiańsko-hiszpańskiego, rytualne palenie tytoniu i zapalanie świec ku czci „Siedmiu Mocy Afrykańskich”, składanie darów egzotycznej plejadzie świętych w intencji pokuty za grzechy.

Ale to wielkie bogactwo legend i postaci nie znajduje się w górach i zapadłych wioskach, lecz w samym sercu miast-kolosów latynoamerykańskich, położonych przede

¹ Święto Matki Boskiej z Guadelupe, patronki Ameryki Łacińskiej, (przyp. tłum.).

wszystkim na północ od Równika. Właśnie tam najściślej łączą się wierzenia i podania murzyńskie oraz indiańskie z ezoteryczno-religijnymi legendami, obrzędami i ceremoniami europejskimi. I tam magia wchodzi w życie milionów ludzi oraz także tam odkrywa się największy skarb kulturowy kontynentu, jakim jest język.

Gawędząc godzinami z kobietą-medium z Caracas, z kabalarką z Guayaquil, z jasnowidzącą z Bogoty i dwójgim meksykańskich uzdrowicieli znajdowałem najbogatsze żyły latynoamerykańskiej literatury pięknej. Lourdes z El Paraiso, karakeńskiej dzielnicy, wiodła narrację godną Salvadora Garmendii. Guga kabalarką znad brzegów Guayas nie podejrzewa, jak jej surrealistyczne opowieści znajdują się blisko prozy Argentyńczyka Jorge Luisa Borgesa, któremu wróżyła z kart pewnej nocy w Quito. Regina, jasnowidząca z Kolumbii mówi z wdziękiem i wyobraźnią powieściopisarza Gabriela Garcii Marqueza, zaś historie moich magicznych przyjaciół z Meksyku przypominają anegdoty i sytuacje w narracjach Asturiasa, Carpentiera, Cortazara, a także Josego Donoso. Magia wychodzi człowiekowi naprzeciw. Na rynku w Sonorze, przestrzeni zamkniętej czterema ulicami, setki mężczyzn, kobiet i dzieci żyją ze sprzedaży talizmanów, amuletów, pachnideł, soli kąpielowych, maści, świec, masek, wysuszonych nietoperzy, niezidentyfikowanych kości, a przede wszystkim ziół, ziół o najprzeróżniejszych woniach.

I znów synkretyzm — dostrzegany gołym okiem. Chrystus i Matka Boska współistnieją w harmonijnej

zgodzie wraz z azteckimi bóstwami, a wzdłuż całego wybrzeża, którego osią jest Veracruz, dołączają do nich Moce Afrykańskie. Jednak nad wszystkim góruje wpływ rytuałów, wierzeń oraz medycyny indiańskiej. Przyzwyczajenie i potrzeby, jakie narzuca rozwój miast, przytłaczają owe korzenie indiańsko-chłopskie, ale nie są w stanie ich zniszczyć, choć, owszem, powodują ich wynaturzenie. Z tych to powodów w Meksyku, bardziej niż w innych krajach, w których szukałem moich ezoterycznych bohaterów, najtrudniej spotkać maga lub czarownicę „czystych”, nie skażonych cywilizacją. Pewien malarz — o wyglądzie Indianina i nieustępliwym charakterze, co pozwalało mu swobodnie spacerować po ulicach wielkiego miasta w spodniach i koszuli z białego lnu, przepasanej barwną tkaną krajką, w czarnym kapeluszu i rzemiennych sandałach — obrażonym, ach ojcowskim, tonem odmówił udzielenia informacji, o jakie go prosiłem. Zarzucił mi, iż należę do owej hordy dziennikarzy i wszelkiego rodzaju naukowców, którzy nie ustępują w inwazji na dziedziczną mądrość magów i uzdrowicieli, potomków cywilizacji prehiszpańskiej. I jako dramatyczny przykład krzywdy spowodowanej ciekawością podał mi przypadek Marii Sabiny, najśłynniejszej uzdrowicielki indiańskiej z Meksyku, bohaterki książek, filmów i reportaży telewizyjnych. Znana w kraju i poza jego granicami „mędrzyni grzybów”, nie znająca żadnego innego języka, prócz języka swoich, Indian Mazateków, powiedziała: „Nie jestem znachorką, bo nie dam nikomu wywaru z ziół.

Uzdrowiam słowami. Tylko to. Nie jestem czarownicą, bo nie czynię złego. Jestem mądra. Tylko to..."

Ale mądrość nie jest w niej, mądrość jest w grzybach, w „dzieciach”, „malutkich coś”, „maleńkich świętych”, „świętych dzieciątkach”, „maluszkach, co wschodzą”, jak nazywa je Maria Sabina. Im to, grzybom, wyrządzili krzywdę uparci intruzi, a w szczególności północnoamerykański mikolog R. Gordon Wasson, który jako pierwszy złożył jej wizytę i przeprowadził wiele wywiadów:

„...Od czasu, kiedy obcy przybyli szukać tu Boga, *święte dzieci* utraciły swą czystość. Straciły swą moc, oni je zniszczyli. Odtąd nie będą służyły. I nic na to nie można poradzić...”

Ani daleka podróż do jej wsi i domku, ani niemożność porozumienia się z nią, gdyż mówi tylko w języku Mazateków, nie uchroniły Marii Sabiny przed owymi obcymi.

To usprawiedliwiona nieufność, bardziej niż strach czy hermetyczność wiedzy i szacunek dla własnych zdolności, były powodem odmowy uzdrowicielki. Ciotki Cristo, wytworu czysto miejskiego, ukształtowanej w szkołach spirytyzmu — jakich ogromna ilość znajduje się w Veracruz — udzielenia mi informacji: „No bo widzi pan, jest mi bardzo przykro, ale ja nie mogę panu pomóc. Zapytałam duchów, a oni na to, po co ja ich pytam, jeśli dobrze wiem, że nie mogę chodzić i opowiadać, jak się tego wszystkiego nauczyłam. Powiedzieli mi: ty masz pracować, a nie myśleć o tym, żeby być w tych książkach i innych rzeczach. Dobrze wiesz, że to wszystko jest tajemnicą

i nawet nie twoją tajemnicą. Niech pan sobie idzie, życzę panu szczęścia”.

Może błogosławieństwo spirytystki pomogło mi przezwyciężyć barierę milczenia i nieufności innych moich meksykańskich bohaterów ezoterycznych: małżeństwa Sadik, uzdrowicieli z Cuernavaki , i mentalistki Rosity Valadez z miasta Meksyku. Dzięki niej oraz pewnej słynnej aktorce teatralnej i telewizyjnej mogłem poznać, choć trochę, życie najbardziej magicznej ze wszystkich postaci — Pachity, której one obydwie najpierw były pacjentkami, a potem pomocnicami i najwierniejszymi czcicielkami. Nie chciałbym, aby moją książkę czytano jako serię reportaży, lecz... zbiór opowiadań. *Wyznania czarownic* nie zadowolą ani tych, którzy będą szukać szczegółowych rytuałów, ani tych, którzy zetknąwszy się w niej ze zjawiskami natury ezoterycznej, zażądadają jednoznacznej odpowiedzi: czy to wszystko prawda?

I tutaj, jak w teatrze czy powieści, nie są najważniejsze prawda i surowy racjonalizm, ale sami bohaterowie.

GUGA

Wróżka z Orrellany (Guayaquil, Ekwador)

Co roku jasnowłosa Indianka miała zwyczaj zjawiać się w Junin czy Fuerte Lavallo, aby kupić drobiazgi i zabawić się w miejscowych gospodach; nie pokazała się już od czasu rozmowy z moją babką. Zobaczyły ją jednak jeszcze raz. Babka pojechała na polowanie; w pewnym ranczo, koło mokradeł, jakiś człowiek zarzynał owcę. Jak we śnie przejechała konno Indianka. Zeskoczyła na ziemię i zaczęła chęptać gorącą krew. Nie wiem, czy zrobiła to, gdyż nie potrafiła już postępować inaczej, czy też jako wyzwanie i znak.

Jorge Luis Borges

Historia wojownika i branki w: Opowiadania, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978

Moi przodkowie pochodzili z Baskonii. Twierdzili, że przywędrowali z Antarktydy, są geniuszami i do tego komunikowali się z istotami pozaziemskimi. Jedna z mo-

ich ciotek, Elisa Ayala González, mieszkająca w Hiszpanii, stała się sławna: mając osiemnaście lat wygrała konkurs na opowiadanie. Dostała Złotą Palmę i lanie od ojca, bo jakże dziewczyna w 1920 roku mogła odważyć się pisać! Treścią opowiadania były seanse spirytystyczne, w których brała udział. Było jeszcze trzech zwariowanych braci: Jose, Arcadio i Carlos. Jeden zawędrował do Panamy, drugi do Ekwadoru, trzeci do Argentyny. A mój pradziadek, ten stąd, opuścił dom, jak miał trzynaście lat, bo chciał wiedzieć, co też może mu się przydarzyć. Statek, którym płynął, zaczął się palić i był tam prezydent Gabriel Garcia Moreno, działo się to w 1861 albo 1862 roku. Wymyślił, że pożar można ugasić słoną wodą, no i zgasił. A jak miał szesnaście lat, prezydent go sobie przypomniał. Takie były początki mojej rodziny.

Do czasów Gugi sprawy ezoteryczne i spirytystyczne utrzymywano w najgłębszej tajemnicy w małej grupie przyjaciół. Rodzina Ayala posiadała bowiem nazwisko, które czuła się w obowiązku szanować: rodzili się w niejalkadowie i gubernatorzy. Guga zaś wszystkie sekrety wywlokła na ulicę i z tego, co mogło być tylko niewinną grą salonową, uczyniła swój zawód, hańbiąc swój szlachetny ród. Ojciec, osoba dominująca w domu, poświęcił życie spirytyzmowi i masonerii. Jego brat był psychiatrą, a matka tak bardzo interesowała się pacjentami szwagra, że postano-

wiła pielęgnować ich w domu, który wkrótce stał się dosłownie domem wariatów. Od najmłodszych lat Guga żyła w nierzeczywistej ezoterycznej atmosferze — reszty dokonały naturalne zdolności dziewczyny. Na początku niewiele rozumiała ani też nie ceniła swoich właściwości. Obcowanie z ojcem spirytystą i lektury uświadomiły jej, że jest medium: wierzyła, że za pośrednictwem pisma automatycznego ujawniają się jej duchy.

Jak miałam dwanaście lat, zaczęłam widywać postać mężczyzny w białej koszuli i czarnych spodniach — on mnie obserwował. A kiedyś w szkole nie mogłam sobie poradzić z zadaniem i wstyd mi było oddać to, co napisałam. Ale nagle chwyciłam ołówek i położyłam go na papier i zobaczyłam, że zaczynam pisać bardzo szybko i dużo. W końcu zrozumiałam, że to jest moje zadanie. Nauczycielka powiedziała mi, że jestem leniuch i że to wszystko odpisałam i kazała mi odpowiedzieć na inne pytanie i zaraz zawołała, że jestem genialna. Opowiedziałam o tym ojcu, a on kazał mi wziąć przybory do pisania — wychodziły mi jakieś rysunki: samoloty, serce, okulary ochronne lotnika. Usłyszałam, jak ojciec powiedział: „Leonardo Marmol”. To był jeden z moich wujów, który pilotował samoloty i zginął w wypadku. Wtedy nie bardzo wierzyłam w te rzeczy i uważałam je za zabawę.

Ale to było dalekie od zabawy. Don Arcadio, ojciec Gugi, urzędnik bankowy i mason, a z zainteresowania i uzdolnień spiryty sta, był założycielem Ekwadorskiej Agencji Wywiadowczej w okresie po konflikcie z Peru w 1941 roku. Guga zapalczywie twierdzi, że nie miał nic wspólnego z faszyzmem ani nazistami, ale charakter tamtej epoki i działalność jego grup, które wykonywały tylko polecenia Ayali, nasuwają wątpliwości. Sam J.M. Vefasco Ibarra, wieczny caudillo, ubóstwiany przez Gugę, przyjaciel don Arcadia, prosił go, aby uczynił swą tajemną służbę oficjalną.

Cały rząd, prezydenci republiki, przychodzili do nas, bo myśleli, że ojciec pracuje z setkami osób. A to nieprawda, on był sam, tylko z paroma przyjaciółmi z grupy spirytystów, a ja mu pomagałam. Na przykład, brałam ołówek i pisałam: „Dziś przybędzie ten a ten, pod zmienionym nazwiskiem. Jest narodowości tej a tej, przybywa, aby zrobić to a to i przylatuje tym a tym lotem...” Policja na niego już czekała, aresztowano go i wszystko się zgadzało. Robiliśmy razem rzeczy straszne. Ale ja miałam tylko dwanaście lat i nic nie rozumiałam.

...Wyszłam za męża i nadal mieszkłam tutaj i zawsze o dziewiątej wieczorem zapominałam o bo: i świecie. Zamykaliśmy się z ojcem i jego dwoma przyjaciółmi i robiliśmy seanse spirytystyczne. Brałam ołówek i papier i wpadałam w trans, ale niecałkowity — czułam chłód,

który ogarniał mnie od czubków palców po kark, a potem gorąco. Robiłam się cała czerwona i wtedy wiedziałam, że to już się zaczęło i wtedy mówiłam, pytałam i odpowiadałam.

Nigdy nie przywoływałam określonej osoby. Trzymałam ołówek i mówiłam, żeby przybył ktoś, kto mnie potrzebuje. Kiedyś przyszedł pewien pan i odtąd przychodził zawsze w czwartki o szóstej wieczorem i z nim robiłam seanse. Opowiadał mi o wsi, rzece, życiu natury w taki sposób, że aż czułam zapach tej wsi. Kiedyś przyszło mi do głowy, żeby zapytać go, czy istnieje piekło i on na to, że jak mogłam o czymś takim pomyśleć, bo przecież Bóg jest nieskończenie dobry, a piekło znajduje się właśnie tu, abyśmy płacili za swoje grzechy. Zapytałam go:

- A jak ktoś odchodzi, to co się wtedy dzieje?
- Jest taki tunel i wtedy idzie się przez ten tunel.
- A co jest za tunelem?
- Światłość, wielka światłość, która oślepia, obojętnia i objawia twojej duszy Chrystusa twojego umysłu.

Kiedy ojciec wziął papier z moim pismem, powiedział:

- To nie pochodzi od ciebie.
- Nie, bo piszę z moim przyjacielem.
- A kim jest twój przyjaciel?

Był nim Omar Khayyan, hinduski filozof, który pisał o winie. Prowadził mnie po wielu miejscach w Europie i innych kontynentach, mogłabym ci je opisać ze wszyst-

kimi szczegółami. A przecież nigdy nie opuszczałam Ekwadoru. Wiedziałam, że piszę, ale przychodził taki moment, kiedy czułam, jak wędruję razem z nim. Stąd moja pewność wszystkiego co robię, bo wiesz, te rzeczy mogą sobie zostać tutaj zapisane, ale ja wszystko to przeżyłam: chodziłam i dotykałam różnych przedmiotów. Nie należę do spirytystek, które wpadają w trans i cześć. Ja nie, ja przeżywam każdą chwilę, mogłabym ci opisać kolory przedmiotów, jakie widzę oraz to, gdzie jestem i co robię.

Podczas seansów z moim ojcem otrzymaliśmy lekarstwo, mam je do dzisiaj. Ojciec postanowił zdobyć lek na raka. A ponieważ uważał, że jako medium byłam wtedy jeszcze za młoda, przyprowadził inne medium, żeby skomunikowało się z duchami. I zdaje się, że ta osoba nie była za bardzo uczciwa. To był Murzyn — miał bardzo skręcone włosy, a kiedy wziął ołówek, cały zeszywniał i włosy mu się całkiem wyprostowały. Zaczął mówić: „Rozwiązanie, rozwiązanie”, po czym wrócił do siebie i seans się skończył. Nie wszystkie media są uczciwe. Bałam się robić seans w tym samym pokoju i przeszliśmy do innego. Duchy skomunikowały się z moim ojcem i powiedziały mu:

— Przygotuj swoją córkę, damy jej receptę.

Chwyciłam za ołówek. Pojawił się przede mną jakiś Indianin z okropną gębą i powiedział, że nazywa się Sumasu. Zapytałam kim jest, bo nie wiedziałam, że to

lekarz z dworu Atahualpy¹. Dał nam dziwną receptę, powiedziałam ojcu, że to przecież niemożliwe. Lekarstwo na bazie ziół: taki liść o trzech żyłkach, *yantsn*, *shungo* i jod. Ale nie wiedzieliśmy, jak dozować. Którejś nocy leżałam już w łóżku i czytałam coś lekkiego, żeby się odprężyć. Usłyszałam kroki i głos:

— Alfred Pinuit...

O do licha, pomyślałam sobie, już nie mogę czytać, już się odrywam. I znów odezwał się ktoś nakazująco:

— Alfred Pinuit...

Poszłam do ojca i zapytałam, czy nie myśli, że zwario-
wałam, bo w powieści nie było żadnego Alfreda Pinuita. A on dał mi ołówek i kazał siadać. I napisałam: „Alfred Pinuit. Lekarz chemik, 1866” albo około 1900 — już teraz nie pamiętam. Powiedziałam do ducha:

— Nie przyzywałam pana.

— Nie musisz mnie przyzywać, to nie twoja sprawa. Jesteś w łańcuchu, a ja mam podać ci proporcje leku. Przygotuj się, bo to jest mój czas.

Powiedział mi nawet, jak i ile dawać zastrzyków. Ojciec był absolutnie przekonany, że istnieje taki lek. Popędziliśmy do kliniki, gdzie leżał chłopiec, który nazywał się Alvarado i ojciec kazał robić mu zastrzyki i sam za nie płacił. Ponieważ tutaj nie używa się zwierząt do eksperymentów, trzeba eksperymentować na ludziach. Mój ojciec sam poszukał tych roślin. Lekarz, który zaj-

¹ Ostatni Inka i władca Peru, po oddaniu skarbcza królewskiego został zamordowany w r. 1533 na rozkaz Francisca Pizarra (przyp. tłum.).

mował się chłopcem, wiedział, że ojciec nie jest medykiem, ale ojciec przestrzegł go:

— Panie doktorze, jeśli pan zaprzestanie podawanie zastrzyku, organizm chorego dozna szoku. Nie wolno przerywać kuracji.

Ten doktor zachowywał się jak każdy ignorant udający mądrzejszego. Kiedyś chłopiec nie dostał zastrzyku i stało się. Trzeba było wołać ojca. W taksówce zrobiliśmy seans, żeby dowiedzieć się, jak go z tego wyciągnąć. I udało się dzięki wskazówkom duchów.

Nie wierzyłam w doktora Pinuita, aż którejs nocy usłyszałam:

— Masz książkę w bibliotece twojego ojca, na którą nie zwróciłaś uwagi. Na trzeciej półce, dziewiąta książka, na stronie 86 masz opisaną historię pani Piper, jest ona medium, ma 86 lat, mieszka w Los Angeles.

I rzeczywiście w *Selecciones* na tej stronie była opisana historia tej kobiety, która z doktorem Pinuitem, lekarzem chemikiem, zadziwiła świat. Pewna poważna osobistość stąd, przyjaciel domu, zawiózł swoją żonę do Limy — miała ona raka z przerzutami. Kiedy skończyliśmy robienie lekarstwa, mama złożyła im wizytę wraz z Rafaellem Correrą, jednym z przyjaciół, z którym robiliśmy seanse. Mąż chorej oznajmił nam, że w Limie doktor Miro Ouesada, spirytysta, powiedział mu: „Kiedy stan będzie krytyczny, pewna osoba z Ekwadoru przyjdzie do was z lekarstwem, proszę go użyć, pochodzi z Łańcucha Światła, koła spirytystycznego”. I właśnie w nocy nastąpił

kryzys, mama przyszła z lekarstwem. Ale lekarze stąd nie pozwolili go zastosować i chora zmarła.

Zrobiliśmy z ojcem mnóstwo zastrzyków, leczyliśmy rozmaite choroby. Po śmierci ojca nie chciałam robić patentu. Mam ten lek i daję go potrzebującym.

Śmierć ojca spowodowała tak ogromny wstrząs u Gugi, że nie mogła już robić seansów spirytystycznych. Sama była bliska śmierci — leżała w szpitalu po nagłym poronieniu bliźniaków. I, jakby na rozkaz don Arcadia, otrząsnęła się z choroby i uspokoiła się. Wciąż jednak śniła o ojcu, słyszała go — dawał jej różne rady, rozwiązywał sprawy rodzinne. I w tym czasie zainteresowała się kartami.

Nie wiedziałam, co z sobą robić, aż kiedyś odwiedził mnie jeden ze znajomych i pokazał talie kart.

— Och, ja umiem stawiać karty. Daj mi je.

W życiu nie widziałam kart i te figurki bardzo mi się podobały. Powiedział, że mi je podaruje, jeśli mu udowodnię, że potrafię wróżyć. Ułożyłam karty, a on aż się przestraszył, bo powiedziałam mu bardzo dużo o jego przeszłości. Dostałam te karty, no i zaczęła się zabawa. Potrafiłam mówić o ludziach i ich życiu i różnych wydarzeniach z dokładnością do dnia i godziny. Wróżenie stało się moim hobby, ale to hobby oznaczało już przyjmowanie od dziesięciu do dwudziestu osób dziennie. Chciałam się

z tego wycofać — nie potrzebowałam przecież pieniędzy, bo byłam modelką i projektantką mody i zarabiałam tyle co wielka artystka. Wychodziłam wieczorami i świetnie się bawiłam. A kiedy zdecydowałam się brać za wróżenie pieniądze, ludzie zaczęli osaczać mnie jeszcze bardziej. Nie wiem, skąd mi się bierze to, co mówię, bo przecież doszłam tylko do trzeciej klasy liceum. A jednak, kiedy dyskutuję z profesorem czy księdzem, dorównuję im. Potem już nie pamiętam tego, co mówiłam. Myślę, że jestem medium mówiącą, nieświadomą. Kart używam tylko dlatego, że ludzie ciągle jeszcze boją się spirytyzmu. Bo właściwie ja nie potrzebuję kart, udaję tylko, że z nich czytam.

A Jednak Guga, choć nie przywiązuje wagi do swych umiejętności, czerpie przyjemność z posiadania kart. Ma dwanaście kolekcji tarotowych kart, karty spirytystyczne, marsylijskie, karty Madame Le Nomar, Madame Grimaud, egipskie, talię reinkarnacyjną, japońskie, specjalne do wróżenia, karty chiromancyjne włoskie, egipskie doktora Morę, hiszpańskie, Eteilli, amerykańskie i jedną talię oryginalną — jest ona dziełem pewnego malarza i składa się z trzydziestu pięciu kart z odmiennym motywem. Przedstawiają one najważniejsze momenty z życia Gugi spirytystki.

W każdym razie ja nie czytam kart w ten sposób: „zostaniesz milionerem i będziesz miał dziesięć kocha-

nek". Czytam ci karty, a ty zaczynasz myśleć o swoim życiu razem ze mną. Potem przychodzisz do domu i nadal rozmyślasz i już wiesz, że to wszystko ci się przydarzy, bo ja prześledziłam twoje życie krok po kroku: zrobiłeś to, coś jeszcze innego, spotkasz się z takim to a takim człowiekiem, dokładnie w którym miesiącu, to będzie cudzoziemiec o krótkim nazwisku. Potem wracasz do mnie po trzech miesiącach i pytasz:

— No, a co mi się teraz przydarzy?

Nic nie sprawia jej większej przyjemności, jak gorszenie krewnych i przyjaciół. Wie, że w poczekalni, siedząc w podniszczonych fotelach, czekają na nią ministrowie, strojne damy ubierające się w Urdesa, najdroższym magazynie w Guayaquil, a tymczasem ona bawi się w kasynach i luksusowych dyskotekach. Nagle wyjeżdża do Quito na zaproszenie ważnych osobistości, na przykład samego Povedy, szefa junty wojskowej, który oddał władzę w ręce Jaime Roldosa w 1979 roku. Mieszka w najdroższym hotelu „Colon”, przytrafiają jej niestychane rzeczy. Na przykład, zawiadamiają ją, że przyszedł do niej „sam Borges”, a ona odpowiada: „Teraz się bawię, powiedzcie mu, żeby poczekał”. Myślała, że to jakiś pan Borges z Guayacuil i trzeba było jej wyjaśnić, że chodzi o Jorge Luisa Borgesa, jednego z największych pisarzy naszych czasów.

*Guga nigdy o nim nie słyszała, nie zna jego wieku,
nie mówiąc Już o lekturze jego powieści.*

Kiedy przyszedłam do hotelu, przyjaciółka, która mnie szukała, nakrzyzczała, że jest już dwunasta w nocy i Borges na mnie czeka. Nie miałam pojęcia, kto to, nie czytałam jego książek, wyobrażałam sobie, że to zwykły facet, ma około pięćdziesięciu lat i cześć. Kiedy weszłam, ten typ powiedział: „Dobrze, ale zostanę z nią sam, nie chcę rozmawiać z nikim więcej”. I zaczynamy sobie gadać. Wyciągam karty i mówię: „no to teraz zobaczymy, Jose Luis, przełóż karty”. I zaczynam mówić mu o jego życiu, matce, nieudanym małżeństwie, co studiował, czego jest profesorem, o jego podróżach i wtedy dowiedziałam się, że jest ślepy, bo mi powiedział: „Skąd to wszystko wiesz? Czym się posługujesz?” Zdziwiłam się i odrzekłam: „ano z tych kart”. Wtedy mi wyjaśnił, że nie widzi i odróżnia tylko kolory czerwony i żółty. Dalej mówiłam mu o jego życiu i opisywałam rysunek na każdej karcie i tłumaczyłam, co on oznacza. „Niemożliwe, jest to coś więcej niż tylko karty”. A potem mi powiedział, że nie chciał żyć, bo już nie czuł się użyteczny, ale ja uważałam, że teraz jest bardziej użyteczny niż przedtem, bo chociaż przedtem mógł widzieć ludzi, ale widział ich materialnie, a teraz może widzieć ich głębiej i lepiej rozumieć. Zostawił mi swój adres i postanowiliśmy kontaktować się przy pomocy kaset magnetofonowych.

Guga jest absolutnie pewna, że nic się przed nią nie ukryje i nie ma dla niej spraw nieodgadnionych. Na początku 1979 roku poproszono ją o wróżbę dla Ekwadoru. Zgodziła się, ale zażyczyła sobie... helikopteru. Oczywiście otrzymała do dyspozycji pojazd a także kamery telewizyjne. Stwierdziła, że dlatego tak chciała, ponieważ nigdy jeszcze nie leciała helikopterem. Wyznała też, że parę razy nie mogła zapanować nad sobą i użyła swej mocy, aby wyrządzić zło.

Kiedyś nasz sąsiad bardzo mnie zdenerwował i powiedziałam do mamy:

— Słuchaj mamo, nie spocznę, póki go nie ujrzę na marach!

— Dziecko, na miłość boską!

— No, dobrze, nie umrze, ale nigdy więcej nie użyje swojego samochodu.

Którejś soboty utkwiał w Urdesa na parkingu i nie mógł ruszyć samochodu. Innym razem dowiedziałam się, że ma jechać nad morze, popatrzyłam *na* niego i powiedziałam:

— Jedziesz jutro nad morze? Doskonale, zobaczysz, samochód wpadnie ci do wody.

No i co? Małe bum i wóz w morzu. Kupił sobie następny, bo ma dużo pieniędzy, i ja mu powiedziałam:

— Nie szkodzi, drugi też ci się zepsuje.

I rzeczywiście. A na koniec to nawet został porwany, a przedtem też zdarzyło mu się jeszcze parę rzeczy. A kiedy

go porwano, zatrzymałam rękę, bo zrobiło mi się przykro, więc pojechałam do Quito i poprosiłam prezydenta, żeby użył swoich wpływów. Udało się, ale on po pewnym czasie znów mnie zaczepił:

— No i widzisz, coś narobiła, czarownico?

A ja mu odpowiedziałam:

— Teraz to już umrzesz i przestaniesz mnie denerwować.

I wtedy się przestraszyłam i szybko wstrzymałam myśli, żeby nie sprowadzić na niego nieszczęścia, ale tej samej nocy zatrzymał mu się nagle jeep, dobrze, że na zwykłej miękkiej drodze, i kiedy wysiadł, bo coś miał w nim poprawić, wpadł pomiędzy dwa koła, które wciągnęły mu nogę. I wtedy ostatecznie zatrzymałam rękę. Teraz to nawet na niego nie patrzę. Tak, parę razy wyrządziłam zło świadomie.

Ale któżby przeszkodził w wyrządzeniu zła czarownicy, która kpi sobie z prawa i chełpi się, że nikt jej nie tknie, bo cały rząd przychodzi do jej konsultorium. Guga z poważną miną wyjaśnia, istnieje coś co ogranicza jej władzę:

To kontrola moralna. Jasne, że tymi regułami nie rządzi prawo ani religia, one pochodzą z kosmosu. Taki hamulec, bo jak masz jakiś specjalny dar, to nie po to, żeby czynić zło. A jak już to zło wyrządź, to wróci ono do ciebie jak boomerang. Już tam człowiek dobrze wie, co jest złe a co

dobrze. Ludzie, którym wróżę, też mnie dużo nauczyli. Wyobraź sobie, przychodzi człowiek interesu i mówi: „Widzi pani, ja mam dziesięć milionów *sucres* i dziś o szóstej muszę zainwestować te pieniądze. Niech mi pani powie, czy to będzie dobry czy zły interes.” A ja wtedy chcę się zabić, bo co mam mu odpowiedzieć? Przecież nie wolno mi popełnić błędu. Dlaczego muszę być taka doskonała? Czego ci ludzie ode mnie chcą? Bo wiadomo, jak już Guga Ayala coś powiedziała, to pewne, to jak wyrok. Czasem tak bardzo jestem zdenerwowana, że muszę iść do pokoju, żeby się odprężyć. Potem trzymam i trzymam te karty i już myślę sobie, że tylko duchy mogą mi pomóc. A kiedy rzucam karty, zapominam, kim jestem, kim jest ten typ i mówię: „Interes z tym facetem, tak, jest jeszcze inny wspólnik, kręci sprawą, a ten adwokat to dureń, pozbądź się go pan”. Typ robi dokładnie to, co mu powiedziałam i przychodzi szczęśliwy z kwiatami. A wczoraj przyszła pewna pani z córką. Mówię do tej kobiety: „Pani mąż jest chory, przed dziesięciu dniami przeszedł straszny kryzys, trzęsą mu się ręce, czasami nawet mdleje. On ma raka.” „To nieprawda”, odpowiedziała. „No, dobrze”, mówię jej, „zaraz zobaczysz, za chwilę sama z nim porozmawiasz”. Wychodzą, a on właśnie przejeżdża ciężarówką, a ta kretynka odwraca się i zamiast wejść do samochodu, mówi mi: „Co ty znowu wyrabiasz?” Jakbym to ja go tu przyprowadziła za rączkę. Ale potem przyszła i wszystko potwierdziła, bo mąż się przyznał do wszystkiego. A tego mi nie pokazują karty. Ja

czuję chorobę. Przeżywam to, co mówię, też drżą mi ręce i omdleвам. Siedzę tu, ale jakbym była w teatrze: wszystko dzieje się na moich oczach. Widzę, co ma się stać i mówię z kart, bo moim ekranem są karty.

Guga znów wspomina ojca, przyjaciela ludzi z rządu — wielkiego czy też właśnie tego małego światka polityków i przemysłowców.

Zawsze poprzez ojca byłam związana z tymi ludźmi. Razem pracowaliśmy. Przepowiedziałam różne rzeczy Velasco, Camilowi Ponce i innym. Nie rozumiałam tego, co mówiłam, byłam bardzo mała i nie znałam kart. Czasami przeraża mnie moja moc. Ale tylko, jak mam jakieś kłopoty i muszę się kontrolować, ale nie zdarza mi się to często.

Jest bardzo pewna siebie, chełpi się mnóstwem klientów i tym, że nigdy nie musiała dawać ogłoszeń w gazetach. Ale skąd to jej ogromne powodzenie? Czy istnieje coś, co wyjaśnia coraz większe zainteresowanie ezoteryzmem?

Tak, bo ludzie potrzebują wsparcia. Już nie pytają, kiedy się kto ożeni czy o podobne rzeczy. Chcą, żeby im powiedzieć, czy to co robią, jest dobre czy złe, albo co powinni robić. Nie wierzą w psychologów ani w psychiatrów. Ktoś, kto zajmuje się kartami albo spirytyzmem, nie

może liczyć czasu jak ci lekarze. Tutaj czas nie istnieje. Tutaj poświęcą ci więcej godzin, pomogą zrozumieć, pomogą myśleć przy pomocy seansu spirytystycznego albo kart. Tak się robi, jak kocha się swój zawód, a jak nie, to znaczy, że uprawiasz zwykły handel. Tyle jest ludzi, którzy przychodzą tu po ocalenie, po pomoc, a to nie może mieć ceny. Pewnie, że bierzemy pieniądze i zarabiamy bardzo dużo. A moja rola polega na uczeniu ludzi rozwagi, myślenia, żeby widzieli swój problem od zewnątrz i rozwiążali go. I to mi się udaje. Oczywiście miałam też porażki. Kiedyś przychodzi chłopak, stawiam mu karty i mówię: „Posłuchaj, głuptasie, dlaczego chcesz się zabić?” Chłopak wiódł podwójne życie. Niby taki całkiem na miejscu, a był zdeklarowanym homoseksualistą. Nadszedł taki moment, kiedy te jego dwie osobowości osaczyły go i postanowił ze sobą skończyć. Potem przyszła jakaś dziewczyna i zapytałam ją, czy go zna. Powiedziała, że to ona go do mnie przyprowadziła. Poleciłam jej, żeby go nie zostawiała samego i pilnowała. Ale jak on przyszedł we środę, to już w piątek strzelił sobie w głowę.

Mój czas to jeszcze cztery lata. Chcę udowodnić ludziom, że nie ma czarów, natomiast jest zło. Chcę udowodnić mojemu narodowi, że istnieją duchy, istnieje dusza i istnieją uczucia.

Co znaczy śmierć? Zaśnięcie, otwarcie tych drzwi i pozostanie po drugiej stronie. Bo jestem duchem i jak ktoś mnie zawoła, obudzę się i przyjdę. Nie boję się, dla mnie to zwykła rzecz, jakbym wybrała się w podróż. Tak

też myślałam, kiedy odszedł mój ojciec. Czuwałam przy jego łóżku, a kiedy powiedział: „odejdz ode mnie”, wtedy skierowałam się do drzwi i cześć, wiedziałam, że już poszedł. Nie chciałam wejść z nim w kontakt, bo dla mnie on nie umarł, tylko tak, jakby wyjechał. Jeśli go bardzo potrzebuję, patrzę na jego obraz. On mi pomaga. Ale nie chcę z nim rozmawiać, bo nie wiem, czy reinkarnował... To mój ojciec nauczył mnie, że śmierć to zwykła rzecz, że można żyć tutaj albo tam i nie trzeba aż tak mocno trzymać się życia.

Guga twierdzi, że jest wierzącą... na swój sposób.

Religia jest tylko jedna, ponieważ Bóg jest jeden i kto nie wierzy w Boga i nie ufa mu, w nic nie może wierzyć — ani w życie, ani w spirytyzm, ani w materię. Dla mnie Bóg jest doskonałością, Najwyższym Architektem i nie uważam, że skoro ja jestem katoliczką a ty świadkiem Jehowy, to właśnie moja religia jest dobra, ty zaś będziesz potępiony. W tym sensie jestem wolnomyślicielką. Nieważne, czy ktoś jest buddystą czy muzułmaninem, najważniejsze, aby żył według wskazań Boga, jakkolwiek on się nazywa. Wierzę, że Biblia jest natchnieniem pochodzącym od Boga i że wszyscy uczniowie Chrystusa, jego prorocy, pisali uśpieni i prowadzeni Jego ręką, jak na seansie spirytystycznym. Kiedy ksiądz wznosi kielich, kiedy w komunii znajduje się ciało i duch Boga, wówczas

on celebrytuje seans spirytystyczny, wzywa ducha Boga. Skoro Bóg i święci są obecni, to dlaczego nie ma pojawić się zwykły śmiertelnik, człowiek dobrej woli?

To właśnie mówi Guga księżom, którzy odwiedzają Jej konsultorium — jedni przychodzą jako zwykli klienci, inni z ciekawości, jeszcze inni pragną ją zbawić. Przyjaźni się ze wszystkimi, a tym, którzy twierdzą, że zawód, jaki uprawia to diabelskie sprawy, odpowiada, że wobec tego diabeł jest wszędzie, gdyż inni księża ofiarowywali jej tiary i poświęcone szaty, aby ubierała się w nie podczas seansów, a by li i tacy, którzy powierza li jej modlitwy i zaklęcia do odprawiania egzorcyzmów.

Przeważnie księża zgadzają się ze mną, wierzą w spirytyzm, pożyczamy sobie książki spirytystyczne. Uwielbiam jezuitę Salvadora Freixedo. To genialny człowiek. Wykluczyli go z zakonu, ale znów go zabiorą i będzie tak jak z Eliphalem Levim, pierwszym jezuitą, który interesował się magią, *santeną*, czarami i spirytyzmem i go, biedaka, jezuita wystali na tamten świat. Wiedział za wiele. To samo stanie się z Freixedo.

Guga protestuje przeciwko zmianom zachodzącym we współczesnym świecie:

Bo teraz wszystko jest takie powierzchowne, skończył się romantyzm, no nie? Wszystko się skończyło: piosenki, marzenia. To przez tych cholernych Amerykanów, co zapaskudzili księżyc. Kiedyś jak ktoś spojrzał na księżyc, to widział w nim coś boskiego, romantycznego, a teraz napchali tam tych rakiet i astronautów i zniszczyli ludziom sny i marzenia.

Być może, ale ani rakiety, ani armia astronautów nie zdoła zniszczyć potrzeby złudzeń i wiary tych, którzy garną się do konsultorium Gugi Ayali, aby dowiedzieć się, co też powiedzą jej karty.

LOURDES

Medium z El Paraiso (Caracas)

To było co miało być, ale do tego świata nie należało — mówił starzec. — Te maszyny, koleje żelazne, coś z Mandingi¹ miały, bo się żywiły ognjem. I może Joel stamtąd wyszedł, z tego kotła. Był synem ognistych węgli. Wielu ludzi widziało, ja nie, jak wkładał rękę do tego żarowiska i chwycił zapalone główne i jadł je, jakby to były lody.

Salvador Garmendia

Joel el Maquinista w: El Brujo H/pico y otros relatos

Lourdes Morillo mieszka w obszernym dwupiętrowym domu w El Paraiso, dzielnicy Caracas. Służące i córki stale myją, czyszczą i wycierają czerwone posadzki. Lourdes wyjaśnia, że duchy nie znoszą brudnych pomieszczeń i nawet odrobina kurzu napawa je niechęcią.

¹ W Ameryce Łacińskiej — diabeł (przyp. tłum.)

Urodziłam się w Caracas. Wychowywała mnie babcia, jakiś czas mieszkałam u ciotki, spirytystki, i chyba ona, jeszcze jak byłam dzieckiem, wciągnęła mnie w te sprawy. Kiedy miałam siedem lat, dostałam wysokiej gorączki i zaczęły mi się pokazywać kulki i małeńkie pęcherzyki, które rosły i zamieniały się w potwory, a te potwory zamieniały się w ludzi, ale ludzi ubranych w pancerze. Widziałam gladiatorów i kobiety, i twarze świętych. Straciłam świadomość i znaleziono mnie na plaży, siedziałam na kamieniu i patrzyłam na morze. Z wody wyszedł jakiś człowiek i przemówił do mnie. Powiedział, że mam do spełnienia na Ziemi misję i potem opowiedział o wszystkim, co mi się do tamtego czasu przydarzyło. Mam wiele luk w pamięci, ale tego nigdy nie zapomniałam, bo wszystko się sprawdziło. To był bardzo piękny człowiek, jak rzadko się spotyka. Miał białą tunikę i srebrzyste włosy. Teraz, kiedy tak wiele wiem od istot z zaświatów, mogę stwierdzić, że on chyba przybył z innej planety. Wskazał mi moją drogę, gdyż wtedy mówił mi o moich zdolnościach. Zrozumiałam go dopiero później, dzięki moim badaniom. Ale nikomu o tym nie mówiłam, bo ludzie by mi nie uwierzyli, miałam przecież gorączkę. Ale nikt się nie zastanowił, jak to się stało, że trafiłam na plażę. A jak miałam dwanaście lat, zaczęłam widzieć ludzi, którzy chodzili i nie dotykali stopami ziemi. Ciotka mi wyjaśniła, że tylko duchy nie dotykają ziemi. No to zaczęłam z nimi rozmawiać, i jeden z nich tak mi powiedział:

- Już czas, abyśmy się skontaktowali. Zawsze byliśmy przy tobie, ale od dzisiaj będziemy z tobą rozmawiać prowadzić cię. Pamiętasz tamten dzień na plaży? Jesteśmy tacy jak tamten pan.

Widziałam ich tak, jak teraz ciebie widzę. Kontaktowaliśmy się, kiedy zostawałam sama, ale potem mogłam ich widzieć nawet w obecności innych ludzi. Oczywiście wtedy mówili prosto do moich myśli.

Lourdes też otrzymywała odpowiedzi na pytania nauczycieli, ale niewiele to pomogło, gdyż była ona bardzo leniwą uczennicą i nie skończyła nawet trzeciej klasy szkoły podstawowej. Nie przejmowało to za bardzo jej ciotki spirytystki, która jednak nie rozumiała charakteru dziwnych spotkań swej siostrzenicy. Uważała, że są to diabelskie sprawy, ale żeby przezwyciężyć strach i także z ciekawości zaprowadziła ją na międzynarodowe spotkanie mediów, jakie odbywało się w Caracas. Dziewczynka była bardzo przestraszona.

Nie usiadłam razem z nimi, tylko stanęłam z boku. Nagle zobaczyłam ducha, którego już znałam i on mnie wołał. Powiedziałam, żeby to on do mnie przyszedł, ale w końcu ja podeszłam, i on też szedł w moim kierunku z wyciągniętymi ramionami. Kiedy dotknęłam jego rękę, straciłam przytomność. Później mi powiedziano, że przez

dziesięć godzin byłam w transie i ktoś mówił przeze mnie. Miałam wtedy wykład o początkach świata, o stworzeniu, jak to wszystko powstawało. A przecież nie mogłam mieć takiej wiedzy. Od tamtego czasu zaczęłam uczyć się u pewnej pani i dowiedziałam się bardzo wielu rzeczy, na przykład, jak bronić się przed rozkazami różnych duchów, jak się im sprzeciwiać. Tłumaczyła mi, że nawiedzają mnie dobre duchy i nakazują czynić dobro, ale też mogłyby mnie nawiedzać złe i kazać czynić złe rzeczy. Ona była doskonałą medium, takie zdarzają się jedna lub jeden na milion. Miała tak wielkie zdolności, że potrafiła materializować duchy. Mogłeś nawet dotknąć ciała tego ducha. Bardzo się wtedy przestraszyłam, bo jeszcze nie byłam przygotowana. Straszne było to przejście z dzieciństwa w świat dorosłych. Oczywiście już wtedy pomagałam różnym ludziom, ale nawet nie wiedziałam, co im mówię. Do tej pory widziałam umarłych w postaci eterycznej, a teraz nagle się materializowali. Medium znajdowała się w stanie katalepsji i była jak nieżywa i swoją energią wspomagała duchy, które się materializowały. Nazywała się Ignacia. Kiedy leżała na łóżku w takim stanie, trzeba było zgasić mocniejsze światło i zaświecić słabsze i przykryć ją czerwonym płótnem. Wtedy nagle pojawiał się mężczyzna albo kobieta. Nie widziałeś go dobrze, tylko jakbyś dotknął, to byś czuł ciało i ubranie. Ta medium była analfaberką, a jednak, kiedy znajdowała się w takim stanie, mówiła bardzo mądrze, nawet mówiła w obcych językach. Miała wielką sławę, pracowała dla generała

Gomeza² i odwiedzał ją ówczesny prezydent republiki Perez Jimenez. Odbywały się u niej operacje, ale takie, że potem mogłeś widzieć blizny i bandaże we krwi. To była niestychana osoba. Wychodziła z kuchni i pachnąc jeszcze mięsem i czosnkiem szła do swojego pokoju i ulegała takiej przemianie. Ja widziałam materializację ducha, ale to sam musiałbyś zobaczyć i przeżyć, żeby uwierzyć. Przepowiedziała upadek Pereza Jimeneza. Nawet go ostrzegła, że jak nie zmieni swojego postępowania, to duchy przestaną mu pomagać. Nawet mu powiedziały: „Powrócisz do Wenezueli jako więzień”. I wszystko się spełniło. Czasami żałowałam, że się nie mogłam uczyć, ale w końcu nie było mi to potrzebne. Miałam moje miejsce w konsultorium Ignacji i kiedy ona zmarła, ja założyłam własne. Wtedy moim nauczycielem był taki jeden Anglik, medium mechaniczny i słuchowy. On otrzymywał wskazówki od duchów poprzez pismo albo głosy. W każdym razie moje wykształcenie zawdzięczam duchom albo ludziom, a nie książkom i szkołom. Duchy mówiły mi, jak leczyć trąd, ból głowy, albo nawiedzenie negatywne. Oni mnie nawet nauczyli jeść i ładnie się wystawiać i w ogóle dobrych manier. A jak kiedyś musiałam iść do sądu, to nauczyli mnie prawa.

² Juan Vicente Gómez (1857?—1935) —trzykrotnie wybierany prezydent Wenezueli, praktycznie utrzymywał to stanowisko od zamachu stanu w 1908 roku do swej śmierci. Rządził „żelazną ręką”, spłacił długi kraju, rozwinął wydobywcie ropy; ukrócił swobody demokratyczne (przyj. tłum.).

Jak wszyscy moi ezoteryczni bohaterowie Lourdes podkreśla stale, że brak jej wykształcenia, a wiedzę nabyła poza systematyczną nauką i poza książkami. Ale mogą mieć podejrzenia, że czytała Allana Kardeca, ponadto posiada wspomniałą bibliotekę tekstów magicznych oraz książek medycznych. Opowiadała mi o kongresach i wykładach, w których uczestniczyła w Wenezueli i sąsiednich krajach, głównie w Meksyku. Podstawą jej ukształtowania był jakiś kurs w Trinidacie. Mówi o nim z wielką powściągliwością:

Miałam zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy otrzymałam list od pewnych państwa z Trynidadu. Oni zapraszali mnie na kurs. A ja nawet nie wiedziałam, skąd mieli mój adres. Odpisałam, że nie przyjadę, ponieważ ich nie znam i jestem za młoda. Znów do mnie napisali, że jestem gorliwą bywalczynią ich świątyni i że skomunikowaliśmy się spirytystycznie, a mój przyjazd jest bardzo ważny dla mojego kształcenia się. Pojechałam i zostałam tam dziewięć miesięcy i cały czas się uczyłam. Mogłam tylko iść z domu do centrum i z powrotem. Tam właśnie otrzymałam mój chrzest w naukach spirytystycznych. Ale nie mogę o tym mówić, bo to tajemnica.

Medium opowiadała o swych duchach i niekiedy traktowała je poufałe, jakby się chciała pochwalić, w jakiej to jest z nimi zażyłości, ale

zwykle przedstawiała je jako istoty wspaniałe /próbowała wytłumaczyć mi — biednemu profanowi— że dla nich i ich materii, mediów, nie ma zbyt wielkiej różnicy pomiędzy życiem a śmiercią, bo w rzeczywistości nikt nie umiera:

Wiem, że my, którzy posiadamy ciała na tej planecie, esteśmy umarłymi, a to dlatego, że nie znamy prawdy cierpimy różne niepokoje, ponieważ potrafimy widzieć tylko to, co mamy przed oczami, nie wiemy, co wydarzy się jutro, nie mamy tyle wiedzy, żeby rozwiązać nasze problemy. Jesteśmy tak tchórzliwi, że nawet przy bólu zęba chwytamy za środek uśmierzający. Nie jesteśmy zdolni wytrzymać bólu fizycznego. A duchy nie czują takiego bólu. Wy, wolnomyśliciele i materialści, powiecie: dobrze, nie czują bólu fizycznego, ponieważ są martwi, ale prawda jest taka, że oni nie cierpią, bo już osiągnęli taki stan, że mogą panować nad bólem. To jest to samo, co praktykowali lamowie z Tybetu.

Oni panują nad ciałem i duchem. Potrafią roztopić bryłę lodu siłą woli. Albo fakirzy, którzy wbijają sobie w ciało igły i nic nie czują. A to wszystko, co ja wiem, nie zdobyłam przy pomocy książek, tylko całą wiedzę przekazały mi duchy. Mogłam czasami użyć tej wiedzy w rozmowach z uczonymi, przeważnie z psychologami i psychiatrami. Widzę i czuję rzeczy, o których boję się mówić. Jeszcze by kto pomyślał, że zwariowałam.

My wierzymy w reinkarnację i mamy absolutną pewność, że ona istnieje. Miałam wizje, które mi się często powtarzały: widziałam siebie w jakimś kraju i żyłam w nim, a potem, kiedy faktycznie tam pojechałam, rozpoznawałam różne miejsca, w których nigdy przedtem nie byłam. Człowiek wędruje astralnie, duchowo. I wiadomo, że jeśli w całości nie spłacimy naszych długów tu na Ziemi, jeśli nie będziemy czynić dobra, musimy się na nowo reinkarnować.

Jest w nas ogromna potrzeba dawania, nie patrząc komu. Dlaczego? Ponieważ mamy świadomość, że jeśli nie będziemy tego czynić, znów będziemy musieli tu żyć. Każdy z nas może skomunikować się z Wielkim Mistrzem i zapytać: „czy znów muszę się zinkarnować, czy właściwie spełniam moją misję?” Jaka misję? Misję dobrej spirytystki. Naszym przesłaniem jest: „Kochajmy bliźnich naszych, nie twórzmy potworów.” Każdy z nas ma swoje duchy i różne misje.

Lourdes dwie swoje córki przygotowała jako kapłanki do swych seansów spirytystycznych. Zawsze uczestniczą we wszystkich ceremoniach spirytystycznych i rytuałach santerii. Yasmin, jak twierdzi matka, jest doskonałą medium. Najstarsza córka Lourdes nosiła nawet koronę Miss Wenezueli i pojechała na konkurs finałowy do Japonii, w towarzystwie matki oczywiście. Medium przyjmuje pacjentów — cierpiących na

choroby fizyczne i duchowe lub szukających rad w sprawach finansowych czy politycznych — w saloniku z ołtarzami, gdzie w najświętszej zgodzie egzystują święci katolicy, bóstwa afrykańskie, mityczne postacie indiańskiej Wenezueli, a nawet postacie czysto historyczne.

My jesteśmy najlepszymi psychiatrami. Przychodzili już do mnie psychologowie i psychiatrzy, żeby się uczyć. j to nieprawda, że do nas przychodzą tylko biedacy i analfabeci. Im kto jest mniej wykształcony, mniej wierzy i mniej rozumie. Najwięcej leczę ludzi z klasy średniej i bogaczy. Zawsze najpierw mówię ludziom, żeby poszli do lekarza. Chyba, że już lekarze nic nie mogą, wtedy ja leczę. Rzadko nas spotykają niepowodzenia, bo nasze leczenie polega na modlitwach i wierze. Do mnie przychodzą najczęściej ludzie wykształceni, którzy chcą wiedzieć, co im się przydarzy, proszą o radę, proszą o pokierowanie nimi, albo czasem chcą wypowiedać się ze swoich błędów, a czynią to, bo pragną zwrócić się do istoty wyższej, która już opuściła ciało i nie znajduje się na tej planecie. Do seansu trzeba ludzi przygotować, żeby umieli modlitwy i potrafili odprężyć swoje ciała. Dopiero wtedy mogą skierować swoje dobre myśli ku Wielkiemu Mistrzowi. Potem medium wpada w trans i się dezinkarnuje. Jakbyś mi w tym momencie badał puls, to nie czułbyś uderzeń. Ja właściwie przestaję istnieć, bo mój duch opuszcza ciało i pozostawia je wolnym, aby przyjęło

ono innego ducha. Moje ciało fizyczne, moje zmysły i moją inteligencję opanowuje inna istota. Powiedzmy, że ta inna istota była lekarzem i zobacz, medium, która nigdy nie była lekarzem, doskonale zna się na medycynie. Tak samo medium może znać prawo albo mówić w różnych językach, choć normalnie ich nie zna. Wcielenie się innego ducha nie jest bolesne. Są media, które nazywamy kataleptyczne, ale one tylko potrafią mówić i nie ruszają się. Nawiedzają je duchy i mówią przez nie. Są inne media, które potrafią materializować duchy i one mogą nawet tańczyć, chodzić, a nawet pić, jakby były kimś stąd, tylko, że posiadają wiedzę. Czasami medium rośnie, a czasami się zmniejsza i to wcale nie jest złudzenie wzrokowe tylko zjawisko fizyczne. Obcy duch może zająć moją materię, a mój własny duch, który jest czystą energią, też może w niej zostać — wtedy następuje relacja ducha z duchem. Kiedyś Brat mi powiedział: „Zostaniesz tutaj, żeby się uczyć, bo jesteś strasznie ignorantką.” Usłuchałam go, choć mogłam odejść, bo my mamy wolną wolę. Mój duch jest wolny. Kiedy jestem w ciele z innym duchem wszystko pamiętam, a kiedy odejdę, nie pamiętam zupełnie nic.

Jeśli na jakiegoś człowieka rzucono czary, trzeba odprawić egzorcyzmy, a potem oczyścić jego aurę, żeby była taka sama, jak po jego inkarnowaniu na Ziemi. Następnie przygotowuje się relikwię, żeby chroniła tę aurę. Relikwia działa jak pole magnetyczne i odpycha złą myśl albo złe uroki. I wtedy mamy podwójne zadanie: pomóc temu, kto został zaczarowany, oraz pomóc same-

mu duchowi, ponieważ nie ma złych duchów, są tylko duchy, co błędzą. Urok leczy się przy pomocy wody i ja pracuję wtedy, jak już lekarze nie potrafią wyleczyć chorego i wiadomo, że jego choroba to zły urok. Wiedza lekarzy nie sięga aż tak daleko. Walczymy z czarownikami i demonami, tak jak to czynił Jezus z Nazaretu. Oczywiście, my wiemy, jak wyrządzać zło, bo musimy umieć je pokonać. Ale zła nie czynimy, bo czyniąc zło, opóźniamy rozwój naszego ducha. A nasze zadanie jest następujące; po pierwsze leczymy fizycznie osobę, kiedy wiadomo, że padła ofiarą złych uroków, po drugie robimy jej terapię psychiczną, kierujemy nią, tworzymy jej świadomość. Bardzo rzadko spotyka się ludzi, którzy padli ofiarą złych uroków, większość schorzeń to choroby ducha. Wiele osób przychodzi do nas i mówi, że ktoś im zadał urok. Wtedy badamy je i okazuje się, że to sugestia, gdyż wielu ludzi wszystko przypisuje czarowaniu i urokom. I trzeba ludzi uświadamiać, że duchy nie są takie skore do rozbijania luster i pukania w sufity.

Lourdes często słyszała zarzuty, że ci, którzy zajmują się magią i nielegalnym leczeniem, wykorzystują niewiedzę i naiwność ludzi, ich niezrównoważenie emocjonalne czy psychiczne i tworzą mechanizmy uzależniające od siebie swoich pacjentów. Odbierają im każdą inicjatywę i bogacą się kosztem coraz częstszego w skupiskach miejskich zjawiska alienacji. Medium odpowiada, że

właśnie najwięksi wrogowie czarowników sami nie ruszają się nigdzie bez amuletu. Nie widzą także sprzeczności między wykonywanym zawodem a wyznawaną religią, ani też nie jest zawistna o lekarzy:

Wychowywałam się jako katoliczka, ale jeśli ktoś mnie zapyta, czy nią jestem teraz, czy chodzę na mszę i przystępuję do komunii, odpowiedziałabym, że nie. Wierzę, że istnieli ludzie, którzy dzięki swym czynkom stali się świętymi. Przede wszystkim głęboko wierzę w Chrystusa. Ale księża nie mogą zaprzeczyć wartości naszej pracy. Oni sami, przed celebrowaniem mszy, najpierw odprawiają egzorcyzmy, aby oddalić zło. A co robili jezuici? Odprawiali egzorcyzmy. Widzisz, jak się łączy jedno z drugim? W życiu ksiądz ci nie powie, że nie istnieją zaświaty i że nie ma duchów, ani że nie ma takich ludzi, którzy komunikują się z zaświatami.

Zapytałem Lourdes, co sądzi o kulcie Marli Lionzy i obrzędach praktykowanych na górze Sorte, ośrodku pielgrzymek magiczno-religijnych, sławnym w Wenezueli i na całej północnej części subkontynentu.

Jest bardzo dużo wersji na temat Marii Lionzy. Przed konkwistą w Yracuy indiańskiej parze małżonków objawiła się Matka Boska — pomagała tym ludziom i kiero-

wała nimi. Oni, nieświadomi niczego, uważali ją za boginię zbiorów, bo zawsze, jak się objawić ;a, plony były obfitsze. Jak była susza, to zaczynał padać deszcz, a jak były ulewy, to deszcze przestawały padać. Dlatego uważali, że to bogini. Kiedyś pokazała się im na tapirze, ale była ubrana, nie goła jak ją teraz malują, niby jakąś nudystkę. Trwało to do czasu konkwisty Hiszpanów. Potem nastąpiło niewolnictwo, przybyli Murzyni ze swoimi obrzędami i wierzeniami. I jeszcze bardziej ludzie wierzyli w tę boginię, bo Murzynom też się pokazywała. Był taki jeden sławny Murzyn, miał na imię Felipe. Przywieziono go do Wenezueli jako niewolnika; kiedyś chciał uciec i Hiszpanie go złapali i obcięli mu ucho. Pokazała mu się Maria Lionza. A potem, jak połączył się z patriotami, bo on był rewolucjonistą i walczył w oddziałach Murzynów przeciwko Hiszpanom, to Maria Lionza ostrzegała go przed niebezpieczeństwami i zasadzkami wroga. To wszystko bardzo rozstawiło Marię Lionzę. A spirytyści wykorzystali wiarę w nią dla własnych korzyści. Kiedyś w puszczy zginęła grupa cudzoziemców, badaczy, którzy słyszeli o cudach na górze Sorte. Jeden z nich miał w plecaku portret królowej Marii Portugalskiej. Znalezione w końcu tych cudzoziemców. Kto wie, może ukazał im się czarny Felipe i wyprowadził, ałe portret królowej przepadł. Znaleźli go chłopcy i potem opowiadali, że zostawiła go sama Maria Lionza, żeby ludzie wiedzieli, jak ona wygląda. Od tego czasu ci spirytyści-handlarze wmawiają w ludzi, że kąpiel w rzeczce odmienia los. No nie, ja wierzę w tamto

objawienie sprzed wieków, ale nie wydaje mi się, żeby te miejsca miały jakąś większą moc. Możliwe, że tam jest jakieś większe skupienie energii, ale ci spirytyści mogliby zrobić w każdym innym miejscu to, co robią na Sorte. Tylko niepotrzebnie ludzi włączą po lasach.

L ourdes twierdzi, że kontakty z istotami astralnymi nie powinny być przedmiotem rozrywki i kupczenia.

Pod koniec naszych spoktań zaproponowała mi:

— Za chwilę odbędziemy seans spirytystyczny, czy chciałbyś zostać? Oni wezmą w opiekę mojego syna.

W seansie wzięła udział medium, czyli Montes — jako medium Lourdes występowała pod imieniem Montes — wraz z Dianorą i Yasm/n swoimi córkami — kapłankami — / inne asystentki. Przystroiły pięknie ołtarz. Lourdes też się wspaniale ubrała. Pierwszy obrzęd zaczął się o jedenastej wieczorem, ostatni skończył o czwartej rano. Jak przy podobnych okazjach duch pozdrowił zebranych, po czym, nie tracąc czasu, skierował się do syna Lourdes oraz dwóch jego przyjaciół i wygłosił im kazanie trwające całą godzinę. Nie było w nim ani gróźb, ani matczynych namiętności. Przyklęknął — to znaczy uczyniła to me-

dium — i powiedział synowi Lourdes, żeby usiadł i nie bał się.

— Połóż mi rękę na biodrze, delikatnie.

Jedna z córek Lourdes podała medium żyletkę i flaszeczkę bursztynowego płynu. Medium zwróciła się do mnie:

— To nie jest środek znieczulający, tylko mieszanina oleju z wywarem roślinnym i służy dezynfekcji.

Rzeczywiście pachniało ziołami. Medium wzięła syna za rękę, przycisnęła ją sobie do biodra i przemówiła delikatnie, nosowym głosem i akcentem trochę kubańskim, trochę meksykańskim.

— To będzie ciębie bolało, ale dobro świadczone przez duchy trzeba opłacić cierpieniem. Odwróć głowę.

Zrobiła kilka powierzchownych cięć w kształcie trójkątów, a następnie pogłębiła je, aby wypłynęło więcej krwi.

— Jesteś odważny, bardzo odważny — mówiła pocieszającym tonem. Chłopak nawet okiem nie mrugnął, otworzył tylko jeszcze szerzej wielkie i czarne jak u matki oczy, zdziwiony, że nie krzyczy. Montes potarła płynem rany i wymieszała je z krwią. Potem poprosiła o kartkę białego papieru /'położyła ją na zakrwawione ramię chłopca. Kiedy oderwała papier, kazała się nam zbliżyć i wyjaśniła znaczenie rysunków:

— Z/e, źle, te cienie należy poprawić. Są kłopoty, spójrz na tę twarz, przypomina oblicze demona, patrz tutaj, mężczyzna, nogi, genitalia. Źle, źle, ale w tym kącie jest dobro, piękno. Możesz się poprawić, ale musisz więcej pracować.

Wzięła syna za rękę i kazała mu wyprostować ramię, ciągnąc je z całej siły. Chłopiec postusznie spełniał jej polecenia. Trzy razy wykonywała obrządek z papierem i odczytywaniem znaków, aż wreszcie owiązała zalane płynem i krwią cięcia elastycznym bandażem ze sprawnością dyplomowanej pielęgniarki.

— Zostaw tak jak jest przez trzy dni, nie zrywaj opatrunku, rany nie mogą ujrzeć światła słońca ani księżyca. — / dodała nic nie zmieniając tonu:

— Czy pragniesz także ochrony przeciw kulom?

Chłopak zgodził się bez słowa protestu. Asystentki przyniosły niebieski talerzyk z trzema łuskami kul karabinowych dużego kalibru. Medium wzięła jedną, grzała ją przez dłuższą c >> wi/ę w płomieniu świecy — świece były jedynym źródłem światła podczas całego seansu — / przywarła ją do przedramienia syna. Teraz jego oczy otworzyły się szeroko i usta ułożyły tak, jakby miały wydać krzyk, ale nic takiego nie nastąpiło.

— Ta trzecia będzie bolała najbardziej — ostrzegła bezbarwnym głosem. — Ale ty nie będziesz krzyczeć, prawda? — / przyłożyła do ciała pozostałe łuski, tworząc prawie doskonały trójkąt równoramienny. Syn Lourdes powstał z widoczną na twarzy bolesną dumą. Jego towarzysze przeszli takie same próby, równie odważnie, biernie i z fanatyczną wiarą. Jeśliby duch nakazał im aby popełnili morderstwo, uczyniliby to bez wahania, a być może nawet nieświadomie. Odniosłem wrażenie, że duchy, Montes i Lourdes są absolutnymi panami woli swoich pacjentów. Kto im przeszkodzi w czynieniu zła? Kto kontrokuje reguły gry na owej granicy rzeczywistości i praw tego świata?

Seans spirytystyczny

Seans rozpoczął się około godziny ósmej wieczorem. W salonie znajdowało się ponad trzydzieści osób — przeważali ludzie z klasy średniej niższej, oprócz dwóch kobiet z wyższej sfery, z których jedna, blondynka, wyglądała na chorą: była bardzo blada i słaba. Montes, jak Lourdes nazywają duchy, kiedy staje się medium, usiadła przy trójkątnym stoliku. Towarzyszyło jej pięć kapłanek, a wśród nich Dianora i Yasmin. Pierwsza, dobrze zbudowana rudowłosa dziewczyna, była jej najważniejszą asystentką.

Yasmin o kruczoczarnych włosach i twarzy Mulatki grała na bębnach. Lourdes instruowała obecnych:

— Nie wolno rozmawiać. Nakazuję absolutną ciszę. Myślcie o Nazareńczyku, świętym Pawle i proście go, aby wziął was pod swoją opiekę. Nie wolno krzyżować rąk ani nóg. Wezwała do modłów: „Ave Maria Purisima”. Wszyscy odpowiedzieli i dokończyli modlitwy.

Pogasty światła i rozległ się gwałtowny warkot bębna. Usłyszeliśmy coś w rodzaju litanii — chrypiące pomruki, gardłowe afrykańskie dźwięki. Duch wypowiadał rytualne słowa, a kapłanki niezmiennie powtarzały „amen”. Po nowym mruknięciu, które miało oznaczać wezwanie lub rozkaz, kapłanki odpowiedziały tym razem modlitwą „Oj-cze nasz”. Powstałiśmy. Nagle usłyszałem słowa w języku angielskim:

— Sit down... Let's begin...

Montes wypowiedziała coś w tym niby afrykańskim dialekcie i zaraz zaczęły padać zdania w języku hiszpańskim:

— Składam dzięki za umożliwienie mi zmaterializowania się w ciele tej oto medium. Przyjaciele... Prosiłem Wielkiego Mistrza, aby pozwolił mi znaleźć się pośród ludzi...

— Witaj nam, Bracie — odpowiedziały kapłanki i zebrani.

— Jestem tu, aby ci służyć i pomóc w odnowieniu twojego świata. Jeśli ktoś tu z obecnych cierpi moralnie albo fizycznie, albo jeśli jego materia jest słaba, pozwól mi dołączyć moje ziarenko piasku, aby usunąć jego cier-

ienia. Dzięki, Ojcze, że obdarzyłeś mnie swą łaską i uczyniłeś swoim sługą.

Zapaliła świece na trójkątnym stoliku. Przy sąsiednim ołtarzu stały trzy butelki z rumem i jedna z zimną wodą oraz dwie szklanki napełnione do połowy jednym i drugim płynem. Medium kazała wejść starszemu siwemu panu. Był to ojciec Lourdes. Jej tu oczywiście nie było. Autorytatywny duch nakazał kapłankom, aby posadziły pacjenta, po czym odwrócił się od niego plecami. A potem zaczął się modlić:

— Jeśli Bóg Wszechmogący pozwoli, naszym zadaniem, Mistrzu, będzie przyniesienie ulgi w cierpieniach temu oto człowiekowi...

Montes kazała swym asystentkom otoczyć starca i unieść wysoko nad jego głowę ręce i opuścić je, strofując jednocześnie, aby go nie dotknęły.

— A teraz magnetyzujcie. Powoli...

Asystentki przesunęły dłonie wzdłuż ciała pacjenta od głowy do kostek. Teraz medium posłała po szklankę wody i poleciła kapłankom, aby „zrzuciły” z rąk chorobę. Zbliżyła się i wykonała kilka dotknięć magnetycznych, a następnie mocno potarła jego głowę, wzdychając przy tym ciężko i głośno. Wzięła szklankę z wodą, pobłogosławiła ją i powiedziała kobietom, żeby położyły na niej dłonie.

— Proszę Wielkiego Mistrza, aby oczyścił wodę i przestał swoją energią temu oto choremu, jeśli serce jego jest prawe i nie sprzeciwia się doskonaleniu duchów.

Kazała podać sobie wodę i postawiła diagnozę:

— Ten pan ma za dużo tłuszczu we krwi. Musi pić wywar z werbeny. Wywar z werbeny usuwa tłuszcz z krwi i zapobiega tworzeniu się skrzepów. W żyłach w mózgu też jest za dużo tłuszczu, przekazaliśmy mu energię płynącą z kosmosu, otrzymał wiele ektoplazmy...

Odprawiła go, mruknąwszy coś w owym dziwnym dialekcie. Dianora natychmiast zawołała Miriam. Medium kazała jej usiąść naprzeciwko siebie, pośrodku salonu wypełnionego ołtarzami: otoczyło ją jakieś piętnaście osób. Każda asystentka obchodziła Miriam, powtarzając słowa: „Sanaaa... Sana...” Medium pstrykając palcami dodała: „Togi dogi, saa, saa, Hosannah...”

Wydawała gardłowe dźwięki, a asystentka powtarzała je krążąc wokół Miriam. Potem klaszcząc w dłonie jak przy murzyńskim songu kazała im wdychać i wydychać powietrze, rytmicznie, coraz szybciej. Stojąca przy mnie najgrubsza z kapłanek, Murzynka, straciła przytomność i padła na ziemię niczym wór. Medium ucieszyła się:

— Doskonale, dziewczęta, teraz tak, pracujecie dobrze.

Pochyliła się nad leżącą i poklepała ją pieszczotliwie po twarzy. Nagle zaczęła mówić po chińsku czy też japońsku przerywając wykrzyknikami w języku angielskim:

— Come now...

Zaczął się chrzest. Sala wypełniła się mężczyznami i kobietami z dziećmi w wieku od paru tygodni do pięciu

lat. Medium teraz mówiła po hiszpańsku z lekkim akcentem meksykańskim. Kazała ustawić się matkom i ojcom chrzestnym w rzędzie: po jednej stronie mężczyźni, po drugiej kobiety. Chodziła od dziecka do dziecka i namaszczała je, po czym poprosiła o naczynie z wodą święconą i oświadczyła, że musi przywołać ducha Montes.

— Nie ma jej tutaj, znajduje się w przestrzeni międzygwiazdnej, jej duch odpoczywa. Teraz jej nie ma, ponieważ ja znajduję się w jej materii, za chwilę ona pojawi się w mojej materii, bo jej ustąpię, ja wyjdę, ona wejdzie, ona wejdzie, a ja wyjdę. Teraz ją wołam, zmieniam ducha, bardzo szybko.

Wypowiedziała kilka słów w tym przedziwnym, przypominającym afrykański, języku i dodała po hiszpańsku:

— Mówię jej, że ją wołam, aby była matką chrzestną, zaraz ona mi odpowie i przybędzie.

W jednej chwili zrobiło się tłoczno, matki chrzestne podawały dzieci, a Lourdes czy też duch, a może Montes, bo już trudno mi było się w tym wszystkim połapać, chrzciała czy chrzcili dzieci:

— Ja ciebie chrzczę, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Kończąc obrządek zebrani zmówili Ojciec Nasz i Zdrowaś Mario.

Montes przeszła nowe wcielenie, oczywiście po wcześniejszych pomrukach, jękach i gardłowym charcocie w wymianie zdań z Dianorą w ich sekretnym języku. Wprowadzono dziewczynkę, ubraną na biało, która przy-

pominała bohaterkę filmu „Egzorcysta” w jego najokropniejszych sekwencjach. Miała zły i bezwstydnny wyraz twarzy. Duch, który się teraz pojawił, mówił mocnym akcentem Hiszpanów, podkreślając ich charakterystyczne seplenienia. Nakazał dziecku milczenie i oświadczył, że wypędzi z niej złego ducha. Wszystkim obecnym nakazał wyjść. Pozostała tylko Yasmin i Dianora. Ostrzegł, że winniśmy się ustawić po prawej stronie drzwi świątynki, zabraniając nawet najlżejszego wychylenia, bowiem zły duch, którego miał przepędzić, mógłby wejść w kogoś z nas. Usłuchaliśmy bez sprzeciwu, ale i tak dla większej pewności pilnowały nas kapłanki. Wewnątrz rozlegały się jakieś trzaskania. Po chwili wyszła dziewczyna, niemal uśmiechnięta, i Dianora podprowadziła ją do matki. Poprosiła o papierosa i wyszła z diabelskim wyrazem twarzy. Było oczywiste, że nie została uleczona. (Lourdes wyjaśniła mi potem, że wcieliło \$i\$ w nią pięć złych duchów. Mówiła obcymi języka * i, pociągał ją ogień i dlatego prosiła o papierosa, choć nie paliła. Według opinii psychologów była normalna, choć działy się z nią dziwne rzeczy, na przykład wkładała palce do ognia, ale się nie parzyła. Kiedyś pewnemu młodemu człowiekowi przepowiedziała dzień jego śmierci, co się dokładnie sprawdziło. Nie można jej ukarać, bo jest nietykalna.)

Montes podeszła do stolika, wychyliła następną szklankę rumu, po czym rozkazała chudej blondynce, aby zbliżyła się. Dziewczyna miała silną alergię (wysypka na całym ciele) i była nie zrównoważona psychicznie. Za-

brzmiały bęben i bębenki Yasmin w szalonym rytmie. Jedna z kapłanek wpadła w trans i zaczęła wydawać okropne ryki... brakowało jej tylko piany na ustach. Medium kazała asystentkom zabrać ją, a ponieważ dalej wrzeszczała histerycznie, wymierzyła jej policzek. W taki sposób uwolniła ją od ducha, który, wymknąwszy się spod kontroli medium, właśnie się w nią wcielał. Znów zagrzmiały bębny. Piękna Yasmin grała niczym zawodowy muzyk— wydobywała tony wysokie i niskie, zmieniała rytm i siłę uderzenia. Coraz szybciej poruszała głową wysuwając język i zamykając oczy i poruszając śmiesznie ustami w rytm swoich *bongos*. Wreszcie jej ręce zatrzymały się, uspokoiły, a głowa opadła, wspaniałe długie skręcone włosy wymknęły się spod chusteczki i zakryły twarz. Osunęła się na krzesło. Matki nie było tutaj, gdyż jako obojętny duch oddawała się swojej „pracy”. Montes po raz pierwszy wzięła bębny i wystukała jakiś rytm. Nakazała ciszę, położyła bęben na ziemi i powiedziała:

— Dziecko, jeśli wierzysz w Boga, jesteś uzdrowiona, a jak nie, to nie...

Rzuciła się na chudą blondynkę, podwinęła rękaw jej białej tuniki, postawiła stopę na krześle, gdzie siedziała przerażona i oszołomiona hałasem dziewczyna. Asystentka podała medium żyletkę, Montes nacięła skórę w trzech miejscach, tworząc trójkąt równoramienny, po czym kazała podać sobie łyżeczkę i garnuszek z wodą święconą. Zebrała łyżeczką ciekącą krew, wlała do garnuszka i wciskając naczynie w ręce dziewczyny, krzyknęła:

— Może powiesz, że czujesz wstręt? Wypij to! Do dna!

Blondyneczka usłuchała, niezbyt dobrze ukrywając obrzydzenie. Medium nakazała uderzyć w bębny, wrzasnęła i podbiegła do stoliczka, na którym leżał rząd noży, chwyciła dwa, skoczyła ku pacjentce, rzuciła się w wir frenetycznego tańca wymachując niebezpieczną bronią. Tańczyła całym ciałem; przypominało to rytuał vudu, taniec afrykański, obrzędowy taniec Indian i namiętne rytmy tropikalne naraz. Jedna z kapłanek zwała się na ziemię, mamrocząc coś w dziwnym języku, jęcząc i wyjąc jak zwierzę. Medium piła teraz rum i wodę. Nagle chwyciwszy nóż, krzycząc wygoniła ze świątynki mówiącego głośno mężczyznę. To samo zrobiła z trzema kapłankami, które wyjąc w transie, wpadły do pomieszczenia. Znow zaczęła taniec z nożami — wściekła, władcza. Rzuciła nóż w otwarte drzwi, grożąc złemu duchowi; wyskoczyła na zewnątrz i upadła na kapłankę Murzynkę. Wijąc się w konwulsjach i jęcząc też weszła w trans. Wreszcie zemdłała. Dianora pieśczośliwie ocierała jej pot z twarzy i uspokajała. Zrobiło się cicho. Zgasła ostatnia świeca. Zaczęliśmy wychodzić. Zawołano nas dopiero do następnej kuracji. Medium piła rum i wodę, ale teraz zachowywała się uprzejmiej. Zapaliła grube cygaro z mocnego czarnego tytoniu i pociągnąwszy powoli, podała je bladej przerażonej blondynce, a następnie zaintonowała litanię.

Zambo arriba ³

³ Zambo — potomek murzyńsko-indiański; Zambo raz na górze, raz na dole; Zambo od czworga przodków; Czarny Filipie, naprzód, naprzód, (przyp. tłum.).

Asystenki powtórzyły: Zambo arriba
Zambo abajo Zambo abajo
Zambo a los cuatro costaos Zambo a los cuatro costaos
Negro Felipe Negro Felipe
P'alante, p'alante P'alante, p'alante

Uderzono w bęben i *bongos*. Grał teraz jakiś chłopak dwie córki Lourdes. Zaczęła się zabawa przypominająca kreolską fiestę.

Duch wyszedł ze swego kąta i poprosił do tańca jedną z kapłanek, potem następną. Przy każdej zmianie partnerki nakrywał wielką czerwoną chustą głowę komuś z uderzających w bębny. A kiedy zatańczył z mężczyzną, zarzucił chustę swojemu tancerzowi. Nieoczekiwanie wybrał mnie — poczułem się jak idiota, ale nie odważyłem się mu odmówić. Miał nad nami wszystkimi absolutną przewagę. Ponadto był wyraźnie w dobrym nastroju i chciał sobie pohasać, więc wciąż z miną kretyna puściłem się w tany z duchem.

Przyprowadzono wysokiego chłopaka, atletycznej budowy, o brązowej skórze i delikatnych a zarazem męskich rysach twarzy, z posiwiałymi włosami uczesanyimi w stylu afro. Wskazano mu miejsce naprzeciwko blondynki; jej podano cygaro, a jemu świece. Medium jakby się oddaliła. Siedziała w swym kącie i poruszała głową, najpierw powoli, potem coraz szybciej, rytmicznie wstrząsając całym ciałem, aż weszła w trans. Pomrukiwała; córki ścierały jej pot z twarzy, głaskały, bacząc, aby nie uderzyła się o ścianę, podawały wodę. Kiedy wróciła, była

już innym duchem; wychyliła szklanekę rumu, rozpoczęła następną litanię nosowym głosem. Pozdrowiła zebranych:

— Good night.

Obecni odpowiedzieli:

— Buenas noches, Hermano (Dobry wieczór, Bracie.)

— Timoco oy.

Timoco yanta oy.

Timoco yanta na i ana yoco ana i...

I wiele innych podobnych słów, równie niezrozumiałych. Bębny i *bongos* zabrzmiały powolnym, dzikim rytmem. Oscar trzymał świecę, kiedy mu się wypalała, podawano następną. Medium wybrała pięciu mężczyzn, pośród których znalazłem się także ja, i nakazała stanąć wokół Oscara, unieść ręce wnętrzami dłoni obróconymi w dół i trzymać je wysoko nad jego głową. Następnie zaczęła mówić mocnym akcentem Hiszpanów (stosując właściwe dla języka hiszpańskiego z Półwyspu Iberyjskiego elementy składni i gramatyki, jednak po kilkunastu zdaniach zapisany tekst wypowiedzi Lourdes nosi cechy języka hiszpańskiego „latynoskiego”).

— Jego bracia twoim braciom. Jego ciało twojemu ciału. Jego materia twojej materii. Jego Brat przybył tej nocy i po raz pierwszy ujrzał cię ciałem w ciało. Dziś, choćbyście nawet tego nie chcieli, służyć będziecie dziełu i otrzymacie energię, aby udzielić jej temu oto bratu i nie dlatego, iżby on energii nie posiadał, lecz dlatego, że

uważamy was za ludzi dobrego serca, choć nie należycie do naszej szkoły. Być może po raz pierwszy odczujecie, iż wasze ciała będą wykorzystane dla czegoś wam nie znanego i w celu, którego nie pojmujecie. Wzniescie wasze prawice i skupcie się najmocniej w wierze waszej, każdej, jaką wyznajecie, byleby nie była to wiara w diabła.

Słuchaliśmy, a ona upomniała mnie:

— Skup się... zamknij oczy... zamknij oczy... Rozluźnijcie wasze ciała, rozluźnijcie ciała, żołądki miękkie, nogi miękkie, nie naprężać się, luźno, bardzo luźno. Rozluźnijcie nogi, brzuchy, jądra, luźno, luźno, bardzo luźno, jakbyście spali w miękkim łożu...

— Masz mnie oto tutaj, Mistrzu, syna Twego, namażzonego przez Boga, ujrzyj mnie godnym przeniesienia Twojej energii na syna Twego, Twej energii na Twą energię, Twójego stworzenia na Twoje stworzenie, w drugim stopniu syna Twego, ucznia Twego, tego oto brata. Nie jest ważne Jezusie, że moja wiara jest inna i inne przekonania. Nie jest ważne, Jezusie, że w błędzie żyję i tym Ciebie obrażam. Królestwo Twoje wszakże przyjmuje owieczki zbłądzone. Bo czyż nie miłujesz tych, co serca czyste mają? Nie miłujesz i owych, co niepokój w duszach mają i prawdy szukają i pragną użytecznymi być dla ludzkości, budować pragną i tworzyć, a nie iść śladem czynów złych? Dopomóż mi Jezusie, użycz mi światła Twego teraz, kiedy jestem tutaj, przed Tobą, aby służyć bliźniemu memu, przyjacielowi memu, mej własnej istocie.

Tak więc, bracia moi, złożcie prawice swoje na głowie tego oto brata i choć zmęczonymi jesteście, i choć inną wiarę macie, i choć w błędzie żyjecie, bezceństwa wyczyniacie i w grzechu żyjecie, jak to mawiają kapłani, teraz w chwili tej czystymi jesteście i zdrowymi. I choć może w to nie wierzycie, ja czuję oddanie wasze pełne, boście się poczuli kochani, i dlatego miłość waszą oddajecie, pewność waszą i roztropność waszą temu oto bratu.

A teraz prawice wasze powoli opuszczają się na materię tego brata, lekko, lekko, bardzo lekko, w dół i zatrzymują się na jego chorym organie. Przekonamy się, czy przyjęliście wskazania Boga, Boskiego Stworzenia, przekonamy się, bracia, przekonamy. Oddawajcie energię temu organowi, zdrowie, ektoplazmę, życie wasze, dobrodziejstwo wasze, dobroć waszą, miłość waszą. Otoczmy tego oto brata aureolą miłości i pomyślmy, iż Bóg w swym nieskończonym miłosierdziu ofiarowuje wam radość, gdyż staniecie się tymi, którzy niosą rozstrzygnięcia wszelkie i absolutne z wszystkich możliwych na tym świecie.

A teraz unieście w górę wasze prawice, w górę, w górę, aby uzyskać znów energię dla waszych ciał, dla waszych duchów, dla waszych dusz, i tak ta wielka energia uleczy ten organ, który macie chory. I z pewnością za dwa lub trzy dni poczujecie dobre oznaki w ciałach waszych, jeśli przypadkiem macie w nich jakiś organ, który jest chory.

A teraz opuszczajcie spokojnie prawice, spokojnie, pokojnie... Bardzo dziękuję.

Wróciłem na miejsce, zadając sobie pytanie, dlaczego uczestniczyłem w tej ceremonii: czy to z powodu rozgorączkowania, aby nie stracić żadnego szczegółu z seansu, czy na skutek umiejętności przekonywania medium? A może taka była siła atmosfery otoczenia, może lęk przed nieznanym, tym czymś, co mogłoby się wydarzyć, gdybym zaoponował, przewyższyły we mnie zdrowy rozsądek? Mam jednak niepokojące podejrzenia, że nawet gdyby kazano mi się tam rozebrać do naga, pewnie też bym się nie sprzeciwił.

Medium mówiła teraz o swoim ciele, to znaczy o ciele Lourdes, a może Montes...

— Montes jest zmęczona. Materia Montes jest zmęczona. Spadło jej dwa kilo. Wydała dużo ektoplazmy. No, dobrze, a teraz do pracy.

Zagrzmiały bębny, wróciła ta sama ciężka atmosfera, czuło się zapach rumu. Oscar palił świecę za świecą. Dianora, stojąca tuż przy nim i niedaleko ode mnie, była napięta, blada. Montes znów rozpoczęła litanie:

Amata te te

Amata te te

Top co ro co

Amata te te teete teetee...

Dianora gwałtownie potrząsnęła włosami i rozsypały się jej miedziane kędzioły. Zrzuciła białą tunikę i zaczęła tańczyć w dżinsach i czarnej wydekolutowanej podkoszul-

ce uwydatniającej jej naprężone sutki. Zamknęła oczy, jej ciało coraz szybciej poruszało się w konwulsyjnych skręta-
tach, ograniczone jednak rytmem muzyki. Osunęła się w transie na ziemię wciąż tańcząc, pełzając po podłodze kocimi ruchami z całą zmysłowością swego dziewczęcego ciała. Białe jej wargi wydawały, jak wydarte przez rozkosz, jęki. Wreszcie bezbłędne uderzające w *bongos* ręce Yasmin omdlały, Dianora wciąż jeszcze dygotała w ciszy. Oscar zgasił ostatnią świecę i przetarł oczy, jakby się właśnie obudził. Siedzący w swym kącie duch podziękował zebrany:

— Było mi bardzo miło znaleźć się tutaj z wami.
Dobranoc.

— Dobranoc, Bracie — odpowiedzieli wszyscy.
Seans się skończył.

REGINA

Jasnowidząca z Chapinero (Bogota)

Anioł włóczył się tędy i owędy, niczym bezdomny umierający. Miotłą wyrzucali go z sypialni, by niebawem znaleźć go w kuczyni. Wydawał się być w tylu miejscach naraz, iż w końcu pomyśleli, że się rozdwaja, że powtarza sam siebie po całym domu, aż rozwścieczona i z równowagi wyprowadzona Elisenda wrzeszczała, że to nieszczęście żyć w tym piekle pełnym aniołów.

Gabriel Garcia Marquez

Bardzo stary pan z olbrzymimi skrzydłami w. Niewiarygodna i smutna historia niewinnej Erendiry i jej niegodziwej babki. Czytelnik, Warszawa 1974

Aby dostać się do konsultorium Reginy Vives, należy najpierw zgłosić się do portiera — siedzi przed jej domem na drewnianej skrzyni po owo-

cach — a następnie uzgodnić termin spotkania z sekretarką. Począwszy od 1960 roku Regina przepowiada najważniejsze wydarzenia w Kolumbii i na świecie. Cieszy się ogromną sławą. Przepowiedziała śmierć „czerwonego” księdza Camilo Torresa w walce partyzanckiej, zamach na Johna Kennedy’ego w 1963 i jego brata w 1968, śmierć Franco w 1975 i Mao Tse Tung w 1976, trzęsienia ziemi w Caracas w roku 1967 i w Bogocie w 1968.

Kiedy jeszcze byłam bardzo mała, widziałam wydarzenia, jakie dopiero miały nastąpić. W miarę jak dorastałam, zdarzało się to coraz częściej, a moje wizje i myśli stawały się coraz jaśniejsze. Po raz pierwszy usłyszałam, że jestem jasnowidzącą w domu rodzinnym. Mój ojciec, okulista, miał aptekę, w której dokonano poważnej kradzieży. Wszyscy byli tym ogromnie zdenerwowani. Zapytałam ojca, co się właściwie stało, a on odpowiedział, że chłopak na posyłki ukradł kilka paczek z lekami. Wtedy ja nagle krzyknęłam:

— To nie on, to aptekarz.

Ojciec kazał mi zamilknąć, ale potem zapytał, skąd o tym wiem, a ja odpowiedziałam, że widziałam.

— Skoro widziałas i nie powiedziałaś, to też jesteś winna.

— Ale tak naprawdę, to ja nie widziałam.

Miałam wtedy siedem lat. Wybuchła awantura, czy

w końcu widziałam, czy nie widziałam, ojciec na mnie krzyczał, aż wreszcie mama zawołała go i powiedziała mu coś do ucha. Byłam ciekawska i podsłuchałam, co mówili.

— Nie strofuj jej, pamiętaj, co ci powiedziałam, że Regina odziedziczyła jasnowidzenie po ciotce Soledad.

I mama opowiedziała mi o ciotce Soledad Roman. Kiedyś ona, ciotka i paru kuzynów znajdowali się na korytarzu domu w Cartagenie, gdzie mieszkaliśmy, i nagle ciotka zaczęła krzyżeć:

— Idą tu dwaj mężczyźni! Zatrzymajcie ich, to mordercy!

Okazało się, że mieli przy sobie broń i przyszli zabić — z powodów politycznych — mojego wujka. Chciałam dowiedzieć się, co znaczy to słowo „jasnowidząca” siostra Francisca de Jesus zapytała, czy już przerabialiśmy w kolegium lekcję o snach świętego Józefa, i wyjaśniła mi, że jasnowidzący widzą różne rzeczy, zanim one się wydarzą. I zaczęłam to bardziej rozumieć, gdyż coraz częściej widziałam wydarzenia, jakie miały nastąpić, szczególnie w mojej rodzinie i dziwiłam się, że inni ludzie tego nie potrafią. Nie mówiłam nikomu o tych sprawach, bo bałam się, że zaczną uważać mnie za szaloną. A w szkole zawsze przygotowywałam się dokładnie z tych pytań, jakie były na egzaminach. Informowałam o nich także moje koleżanki. I wszystkie miałyśmy dobre stopnie, ale wyniknęły kłopoty, bo zaczęto podejrzewać, że któraś siostra mnie wyróżnia i wszystko mi mówi. Robiono dochodzenia, wreszcie ksiądz przywołał mnie i kazał mi

wyznać, kto daje mi pytania. Ja popatrzyłam na niego i powiedziałam:

— Proszę księdza, ja wiem wcześniej, co się wydarzy, na przykład wiem, że mama księdza jest umierająca i ksiądz bardzo niedługo uda się w podróż. On zamilkł i oczy zaszyły mu łzami. Potem wyjął z kieszeni telegram, w którym zawiadamiano go, że matka jest ciężko chora. Od tego czasu siostry już mnie nie zaczepiały, ale ja stałam się bałam, przecież wtedy takie rzeczy uważano za coś zupełnie wyjątkowego...

Kiedy miałam dziewiętnaście lat, napisałam list do mojej matki: „Wychodźca mąż za Carlosa Rokę, wiem, że miłość to psychoza, i wiem, że nie będę szczęśliwa. Życie samo pokaże, co będzie”. I rzeczywiście, moje małżeństwo nie było szczęśliwe, rozwiedliśmy się i zostałam sama z dziećmi na utrzymaniu. Dopiero co zamieszkałam w Bogocie i nie wiedziałam, gdzie i jak znaleźć pracę. Nie znałam nikogo. Wiedziałam o moim jasnowidztwie, ale nie umiałam rozpocząć, wtedy te sprawy były zaledwie w powijkach, zresztą i teraz nadal jesteśmy w powijkach. Od czasu do czasu posługiwałam się kartami. Kiedyś przyszła pielęgniarka, żeby mi zrobić zastrzyk, a ja nie miałam pieniędzy nawet na jedzenie dla dzieci i poprosiłam ją, żeby mi pożyczyła pięć pesos, a przed dwudziestu laty było to dużo pieniędzy. Ona na to, że ma pięć pesos, ale idzie do wróżki. I wtedy powiedziałam jej, że umiem stawiać karty. Zgodziła się nie tylko pożyczyć, ale dać mi te pieniądze, jeśli powiem jej to, co chce

wiedzieć. A ja miałam tylko niekompletną talię do pokera. Wyciągnęłam karty i zaczęłam mówić: „Będiesz miała dziecko, i to będzie dziecko twojego szwagra”. A ona wtedy dostała spazmów i musiałam podać jej alkohol, którego używała do zastrzyków. I od tej pory przysyłała mi ludzi. Moja sława rosła, zarabiałam dobrze i mogłam przenieść się w lepsze miejsce. Ale gospodyni tamtego domu chciała mnie wyrzucić i oskarżyła przed sądem, że używam kart, co było zabronione. Poszłam na rozprawę z adwokatem, ale w pewnym momencie wstałam i powiedziałam sędziemu, że posługuję się moimi zdolnościami, co jest legalne, „a pan, panie sędzio, jest taki a taki i stanie się to a to”. I tym wszystkim ważnym ludziom z sądu powiedziałam wiele o ich życiu i przyszłości. Czułam się coraz pewniej, bo adwokat szeptał do mnie, żebym mówiła dalej i że jestem niezwykła. Zbierało się wokół mnie coraz więcej ludzi. Powiedziałam im wiele prawdziwych rzeczy, a do pewnego człowieka z sali rzekłam: „Pan jest przewodniczącym Sądu Najwyższego i myśli pan, że ma pan raka, ale to tylko wrzód”. I tak było, bo jego brat właśnie umarł na raka i on miał psychozę. Po miesiącu siostra tego pana, która stała się moją przyjaciółką po wydarzeniu w sądzie, zawiadomiła mnie, że mam pójść po wyrok. Przestraszyłam się, ale sędzia powiedział, że „odkrywam podświadomość ludzi, którzy mnie otaczają”. Zapłaciłam tylko pięćdziesiąt pesos kary za używanie kart.

Po pierwszym wywiadzie dla jakiegoś czasopisma Regina poważnie zainteresowała się swoimi zdolnościami. Zaczęła czytać o zjawiskach zachodzących w mózgu, literaturę wschodu, podróżowała po całej Kolumbii, odwiedzając czarowników i uzdrowiaczy, robiła doświadczenia na swych klientach, dochodząc w końcu do następujących wniosków:

Myśl przedostaje się poprzez cztery żywioły: wodę, powietrze, ziemię i ogień. Zrozumiałam też, że ogromną pewnością daje wiara, słowo jest energią, a to, czym ja się posługuję, sąsiaduje z religią, czego dowodem jest fakt, że najlepszymi parapsychologami są jezuici. Zaczęłam eksperymentować z tymi czterema żywiołami — osiąga się przy ich pomocy wiele rzeczy. Kiedy jestem przy basenie albo dużym naczyniu z wodą, przekaz myślowy jest doskonały. Zrozumiałam też, że najlepiej jest wtedy, kiedy współpracują ze sobą jednocześnie świadomość i podświadomość. Osoba, która używa myśli, musi mieć podświadomość czystą, spokojną, nie czuć niepokoju, bo to powoduje przesłania bezwiedne. Zrozumiałam, dlaczego niektóre osoby wysyłają energię negatywną, a inne pozytywną. Dowiedziałam się, że także można wysyłać przesłania zbiorowe całemu narodowi. Mam ochotę pomóc sandinistom w Nicaragui. I zacznę wysyłać im od dzisiaj, to Jest 19 czerwca 1979 roku, pozytywne przesłania

szczęścia i powodzenia. Być może będzie to kropla w morzu, ale zawsze coś znaczy.

Có do ziemi... kiedy byłam mała i w domu ktoś zachorował, ja zbliżałam się do krzewu jaśminu w ogrodzie, wtykałam kilka patyków w ziemię i mówiłam, żeby szybko przyszedł lekarz, czyli mój wujek Lorenzo. I przychodził. Wtedy czyniłam to spontanicznie, potem robiłam doświadczenia. Na przykład zwilżałam ziemię, skupiałam się i przesyłałam myśli. W myśli jest wielka energia, znajdują się w niej bieguny odbierające i bieguny wysyłające. Jest tak, jakby były połączone. Wiem, kiedy należy przestać. A w ogniu widzę różne figury i poprzez nie przesyłam myśli. Ja czytam w ogniu. Powietrze łączy się z innymi elementami i najbardziej pomaga w przekazywaniu energii.

Pytają mnie zawsze o to samo, bo i biedni i bogaci mają takie same kłopoty. Na początku były to sprawy związane z uczuciami. Potem, kiedy rozwinęłam moje zdolności jasnowidcze, odpowiadałam na kwestie związane z polityką i ekonomią. W sprawach politycznych, kiedy ktoś wysyła myśl pozytywną, i nie ma zakłóceń negatywnych, zdarzenia następują nieprawdopodobnie szybko. Przychodzą tu wszyscy: politycy, ludzie interesu, zakonnicy, psychologowie. Czasami próbują udawać, przebierają się, ale zawsze ich odkrywam. Kiedy przepowiadam rzeczy prawdziwe, oczywiście nie mam żadnych kłopotów. Ale czasem jest coś, co może zaszkodzić danej osobie i wtedy tego nie mówię, choć to widzę. Mogę stracić sławę

jasnowidzącej. Jeśli widzę, że ktoś ma umrzeć, nie mpwię tego. Oczywiście, jeśli mogę zapobiec wypadkowi, czynię to. Na przykład pewnemu panu z Medellin powiedziałam, żeby już nigdy nie wsiadał na motocykl. Odpowiedział mi: „Co też pani mówi, jestem przecież motocyklistą, jeżdżę już dziesięć lat”. Moje ostrzeżenie nie znaczy, że sprzeciwiam się przeznaczeniu, uważam tylko, że są sprawy, którym można przeciwdziałać, choć już są zaznaczone i są takie, którym można przeszkodzić. W przypadku tego motocykla, na przykład. Ja wtedy widziałam wypadek i jeśli temu człowiekowi byłaby pisana śmierć, na pewno nie usłuchałby mnie. Na szczęście on się tym przejął. Jest tak, że przy pomocy psychoenergii można złagodzić złe strony przeznaczenia.

Ja kocham życie i bardzo mnie niepokoi śmierć. Boję się pytać o to, ponieważ przeczuwam, że nie jest bardzo odległa. Doświadczam tego z moimi krewnymi i nie zajmuję się tą kwestią, ponieważ zdenerwowanie uniemożliwiłoby mi wysyłanie energii pozytywnej. To tak jak z chirurgiem, który nie potrafi operować własnego dziecka, choćby był najwybitniejszym specjalistą. Ale wierzę, że ta energia, o której mówię, nie może umrzeć. W jaki sposób by umarła? Ja wierzę w reinkarnację, ale drogą energii. Myślę, że mam coś wspólnego z Hiszpanią, bo wszystko co hiszpańskie zachwyca mnie. Musiałam być kiedyś czarownicą albo wróżką, bo skąd u mnie ta fascynacja okultyzmem i ezoterycznością? Starłam się jak mogłam żyć sprawami ducha i myślę, że osoba, która

mnie zastąpi, w którą zreinkamuje się moja energia, będzie pełniejsza, bardziej wysublimowana. Wtedy jasnowidztwo zostanie zaakceptowane jako dziedzina nauki. Wciąż zęba o to walczyć. Powiedzmy za jakieś dziesięć lat zobędziemy poważanie, bo rozwój tej dziedziny stanie się koniecznością.

Niektóre przypadki przynoszą ogromne kłopoty. Kiedyś wieczorem przychodzi pewien człowiek, bardzo elegancko ubrany. Ja nagle wołam: „Pan jest bandytą!” On popatrzył na mnie przeciągle, tak, że nawet pomyślałam sobie, że się pomyliłam, i nagle zaczął zrzucać z siebie ubranie. Chwyciłam za telefon. Kazał mi się uspokoić i powiedział, że czyni to ku mojej satysfakcji, i pokazując mi kamizelkę kuloodporną, powiedział, że owszem, jest bandytą i żebym nie ruszała telefonu. „Chcę tylko, żeby mi pani powiedziała, czy uda nam się napad na bank”. Ja, przestraszona, myślałam, że jeśli powiem mu, aby tego nie robił, stanie się moim wrogiem. I odpowiedziałam mu: „Widzi pan, mogę mówić o pańskim najbliższym napadzie, ale na tym koniec, o żadnym więcej, ponieważ zginą dwie osoby, a pan upadnie na jedną z nich”. Pożegnał się. Wtedy dostawałam za ledwie piątą część tego, co biorę teraz. On dał mi o wiele więcej, niż się należało, i poszedł sobie. Minęło jakieś sześć miesięcy i znów się pojawił. Zapytał, czy go poznaję. „Ach, tak. Bandyta”. A on zaczął mówić bezczelnie: „Może pani czuć się podwójnie usatysfakcjonowana. Po pierwsze, pamięta pani napad na bank hodowców bydła?” „Nie, ponieważ nie czytam takich

rzeczy." „No, dobrze, stało się tak, jak pani przepowiedziała. Zabito dwie osoby, ja spiesząc się upadłem na jedną z nich, nawet ubrudziłem sobie krwią marynarkę, ale się uratowałem. Po drugie, za jakieś dwadzieścia dni wyjeżdżam do Meksyku. Czy nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że będę wysyłał prezenty?" „Nie." „To wspaniale." Zostawił mi trzy tysiące pesos, co jest warte tyle, co teraz dwanaście. Po pewnym czasie zaczęłam dostawać od niego prezenty bardzo drogie, zawsze na Boże Narodzenie. Wiem, że żyje teraz jak król. Ma nawet basen. Jedna z jego córek wyszła za znanego adwokata, a druga miała poślubić mojego znajomego, dużo starszego od niej, ale na szczęście posłuchał mnie i zrezygnował z tego małżeństwa. Oczywiście teraz mój przyjaciel-bandyta już nie kradnie, żyje porządnie i jest świetnie prosperującym człowiekiem interesów.

Nigdy nie pozwalałam, żeby do konsultorium wchodziło więcej jak jedna osoba. Rozumiem to tak: w mózgu odbywa się proces pochłaniania i wysyłania fal i kiedy są dwie osoby, otrzymuję emisje obydwu i mogę mówić rzeczy, które nie dotyczą akurat tej, do której mówię. Ale kiedyś pewna para nalegała, aby mogli wejść razem. W końcu zgodziłam się, ale zapytałam, czy są małżeństwem. Tak ich odczuwałam. Zaprzeczyli. Ktoś może być jasnowidzem, ale jeśli ludzie twierdzą, że nie, nawet jasnowidz może mieć wątpliwości. Kobieta zapytała, czy mąż jest jej wierny. Odpowiedziałam, że był jej wierny, ale teraz nie, jednak musi być z nim i się nim opiekować,

ponieważ jest chory na raka i bardzo niedługo umrze. I wtedy ten mężczyzna strasznie zbladł. Tego się spodziewałam. Zmarł po trzech miesiącach. Dlatego nie mówię takich rzeczy chorym, bo to powoduje silny wstrząs.

A moja wada wzroku była przyczyną rozwinięcia moich zdolności. Musiałam wyobrażać sobie różne rzeczy. Jasnowidzący widzi różne obrazy, ale nie przy pomocy wzroku — tego to ja sama nie umiem sobie wytłumaczyć. Jest to jakiś wyższy impuls, który zmusza mnie do przepowiadania. Te obrazy zdają się nie mieć żadnego związku z rzeczywistością. Ponadto możliwe, że dobry wzrok sprawiałby mi tylko kłopot. Pewnie bardzo pomaga w analizie psychologicznej, różne rzeczy widzi się wtedy jaśniej, ale ja już wolę nie widzieć, ponieważ jestem wolniejsza. Nie jest dobrze patrzeć w oczy, gdyż są bardzo wymowę, podobnie jak gesty, i zakłócają myśli. Kiedy pozwalam myśli pracować samej, zawsze odkrywam prawdę. Jest możliwe, że się mylę, ale błędy nigdy nie są świadome. Jak w każdym zawodzie: efekty mogą być natychmiastowe, trzeba na nie czekać albo w ogóle ich nie ma. Może się zdarzyć lekarzowi, że umrze jego pacjent i wtedy rodzina uważa, że to lekarz go zabił. Czynię wysiłki, aby moje słowa były prawdziwe, i proszę ludzi, aby mi płacili, kiedy wszystko się spełni. Jeśli chodzi o choroby, mój udział w leczeniu ogranicza się do przesyłania energii pozytywnej, ale leczę rzadko, ponieważ boję się mieć do czynienia z przypadkami medycznymi. Czasami przegrywam, bo nie udaje mi się ustrzec

mojego klienta. Zdarzyło się, że pewnemu panu, którego wielce sobie ceniłam, odradziłam podróż samochodem. Pojechał, ale nie chciał prowadzić, nawet jego towarzysze zmienili samochód i kierowcę. A jednak mieli wypadek i zginęli wszyscy. Potem przysłano mi kartkę, którą napisał i poprosił, żeby mi oddano, jeśli coś mu się przydarzy. Pisał, żebym mu wybaczyła i że on zawsze darzył mnie szacunkiem.

Wiele wiem o sprawach dziejących się w polityce, wielu rzeczom chętnie bym przeszkodziła, ale nie mogę się na to odważyć, bo ogłoszą mnie szaloną. Nie mówię tego, co nie podobałoby się rządowi — zamknęliby mi konsultorium i z czego bym żyła? Gdyby jakiś senator miał doradcę, takiego jak ja, mogłabym weryfikować prawdę w jego przemówieniach i potem działać. I wtedy wiedziałby, czy ma do czynienia z szarlatanką czy nie. Moja pomoc polegałaby na transmitowaniu energii pozytywnej. Nie chodziłoby mi o wpływ na władzę i dzielenie się władzą. Nie byłoby żadnego takiego uzależnienia, jak w przypadku Rasputina czy Lopeza Regi w Argentynie. To co my robimy, jest nauką, a każda nauka na początku jest niewiedzą. Ale mimo wszystko są już jakieś osiągnięcia. Niegdyś Święta Inkwizycja wysyłała na stos czarownice, teraz jezuici są moimi najlepszymi przyjaciółmi.

Pożegnaliśmy się serdecznie. W poczekalni siedziało paru klientów. Mieli zawstydzone twarze jak wszyscy, którzy przychodzą poradzić się czarowników.

JUAN I LILIA

Para mediumistyczno-znachorska z Cuernavaki

Potrzeba nam ognia drzew żywych, żeby noc miała ogon płomienisty, ogon żółtego królika, zanim tamten napój odgadujący wypije i powie, | to ukrzywdził panią Yakę i wepchnął jej przez pępek świerszcza.

Miguel Angel Asturias

Venado de las Siete Rosas

Duchy nawiedzały Juana Sadika od dzieciństwa i swym niezwykłym zachowaniem zmuszały go do ciągłej zmiany miejsca zamieszkania. Wreszcie osiadł w Cuernavace, gdzie poznał Luisa Martineza, słynnego medium, który zmaterializował ducha Mistrza Amajura, a nawet zdołał wykonać jego fotografię: człowiek z brodą w białej

tunice. A oto początki niebywatej kariery Juana Sadika:

Od dziecka odwiedzały mnie istoty duchowe, wydawało mi się zupełnie normalne, że je widziałem i mogłem się z nimi bawić. Matka martwiła się, myśląc, że jestem chory umysłowo i kiedyś zaprowadziła mnie do wikarego w Cuernavace, Nicanora Gomeza. On wiedział dużo o egzorcyzmach. Kropił mnie wodą święconą i odmawiał modlitwy, ale po jakimś czasie, kiedy był przy mnie sam, też zaczął widzieć niezwykłe rzeczy. Potem poznałem doktora medycyny, kapłana ewangelickiego, i on często rozmawiał ze mną o frankomasonerii. Poznał mnie z panem Izquierdo, który robił seanse spirytystyczne i leczył z pomocą duchów.

Obecnie z Juanem Sadikiem współpracują: jego żona Lilia; „najlepszy przyjaciel” wówczas rektor Uniwersytetu w Cuernavace; profesor parapsychologii ze Stanów Zjednoczonych; lekarz; inżynier oraz adwokat. Ci ostatni to masoni. Lekarz postugiwał się w leczeniu metodą hipnozy. Grupa próbowała „recesji” w celu zweryfikowania słynnych w historii wydarzeń parapsychologicznych. Po trzech latach pracy zainteresowali się magnetyzmem i doświadczeniami Różokrzyżowców, którzy między innymi poruszali mury i zapalali ogień dłońmi; potem udowodnili

istnienie „aury” i promieniowanie magnetyczne ciała ludzkiego, następnie zaczęli eksperymentować z tabelą ouiija — zabawką ezoteryczną, modną od 1962 roku w Meksyku, którą można było kupić w każdej księgarni. Jest to poła kierowana tablica z trzydziestoma ośmioma znakami ułożonymi w półkolu — dwadzieścia sześć liter alfabetu łacińskiego, dziesięć cyfr od jeden do zera oraz wyrazy „tak” i „nie” ułożone wyżej po obu końcach od lewej do prawej. Każdy gracz dotyka palcem wskazującym szklanki i zadaje pytania, szklanka przesuwaa się pomiędzy cyframi i literami tworząc słowa i daty. Mówi Juan Sadik:

Na początku spotykały nas same niepowodzenia, ale wreszcie razem z Lilią wesliśmy w kontakt z kimś, kto został naszym przewodnikiem — z Mistrzem Amajurem. A ponieważ byliśmy dość sceptyczni, poprosiliśmy go, aby dał nam jakiś znak. Którejś nocy powiedział nam, abyśmy zaciemnili pokój, żeby można było zobaczyć światło. Czekaliśmy około dziesięciu minut i ujrzeliśmy jakieś zielonkawe światełka, jedno z nich zatrzymało się na głowie Lili. W następnych seansach, za pomocą tablicy ouiija, Mistrz tłumaczył nam, co mamy czynić, aby rozwijać zdolności naszych asystentów. Mieliśmy szczęście, bo sześć osób w grupie posiadało zdolności mediumistyczne. Ja miałem trochę więcej mocy od innych. Przyszło mi do głowy, żeby podejść do Lili i przekazać jej moją

*

się magnetyczną. Wpadła w trans i zaczęła mówić przekazując nam przesłanie o charakterze filozoficzno-moralnym, ale przede wszystkim wzywała nas, abyśmy uczyli się człowieka poprzez samego człowieka.

Zaczynaliśmy widzieć już nie tylko jedno, ale więcej światłek podobnych do iskier, które siadały nam na ręce i pozostawiały po sobie zapach czegoś, co nauka nazywa ozonem. I zaczęliśmy uczyć się o ozonie. Mistrz zmateriałizowany w Lili, która siadywała na fotelu otoczona resztą asystentów, rozpoczął leczenie. Był istotą zupełnie inną niż my. Jego sława rosła i nasza grupa powiększała się zarówno o zwykłych ciekawskich, jak i tych, którzy pragnęli uzdrowienia, oraz tych, którzy cierpią najbardziej — chorych duchowo. Najważniejsza jest tu wolna wola. Tym, którzy twierdzili, że są zadowoleni z siebie i życia, radziliśmy, aby się nie zmieniali, zaś niepokieszonym, aby szukali odpowiedzi w samych sobie.

Mówi profesor Bolaños Cacho, naczelny Dyrektor Oświaty Republiki Meksykańskiej:

Od dziecka w Lili zachodziły zjawiska ekstramentalne i ultrasensorialne, niedostępne rozumieniu jej rodziny z powodów ograniczenia umiejętności obserwacji i absolutnego braku podstaw wiedzy psychologicznej, które by umożliwiały pojmowanie mechanizmów systematycznie powodujących w organizmach takich osób tego rodzaju zjawiska psychiczne. Stąd w wielu przypadkach

stawały się one ofiarami obojętności społeczeństwa i jak w przypadku Lilii wywoływały negatywne reakcje. Twierdono, że ta dziewczynka postradała zmysły, gdy tymczasem była ona posiadaczką cudownych właściwości onadnaturalnych, które nawet pozwalały jej czynić dobro ludzkości. Mogła leczyć i stawiać diagnozy. A używała tylko fluidu magnetycznego płynącego z jej rąk — czasem wywaru z ziół leczniczych — dzięki swym specjalnym zdolnościom otrzymanym od Boga, a także gorliwości brupy „LUZ Y ENTENDIMIENTO” (Światło i Pojmowanie), Lilia wybijała się w swej percepcji ponadzmysłowej umiejętnościach. Kiedy po raz pierwszy użyczyła swej materii i weszła w pełny trans, doznała objawów wrażeńiowych. Początkowo budziły one w niej strach, opierała się im nie chcąc ich przyjąć, jak to było w przypadku lewitacji. Którejś nocy siedzieli z mężem na łóżku i nagle zaczęli unosić się w górę, wywołało to w niej histerię, gdyż bała się, że rozbiją się o sufit albo potłuką o podłogę przy spadaniu. Krzyczała, płakała, trzymała się kurczowo męża, który objął ją i uspokajał na wszelkie sposoby, aż powoli opadli na podłogę, nie doznając krzywdy. Po kilku dniach doświadczyła czegoś jeszcze bardziej niezwykłego: ubrana w piżamę i szlafrok przed pójściem spać zgasiła światło i wtedy poczuła zapach ozonu, a jej ciało okryło piękne błyszczące zielone światło, czego z początku nie dostrzegła. Zwrócił jej na to uwagę mąż. Podeszła do lustra i przeraziła się — nie rozumiała, co się z nią dzieje.

Zrzuciła z siebie ubranie, przekonana, że to światło spali ją i ukryła się w łóżku.

Z opowiadań Lili i profesora wynika, że w domu małżonków Sadik, gdzie znajduje się ośrodek „Luzy entendimiento”, dzieją się rzeczy niezwykłe. Przyjmuje się tam tylko te osoby, które wierzą, że uzdrowienie zależy od nich samych. Przy schorzeniach fizycznych wymaga się, aby były to przypadki, z których zrezygnowała medycyna oficjalna. Podobnie jak inni znachorzy czy znachorki z różnych krajów latynoskich Juan i Lilia twierdzą, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent chorób to choroby psychosomatyczne, choroby duchowe, co zresztą nie przeszkadza Lili wykonywać, gdy wciela się w nią Mistrz Amajur, operacji fizycznych. Uwalnia swych pacjentów od guzów, cyst, tętniaków z zewnątrz i ze środka organizmu bez użycia instrumentów chirurgicznych.

Nie są one potrzebne — wyjaśnia Juan — duch otwiera ciało swoją własną siłą, wyciąga to co jest ciałem obcym i pozostawia ranę czystą. Czasami płynie krew, którą osusza się tamponami, bo te tampony pozwalają pacjentowi wierzyć, że to jego własna krew, tej samej grupy. My nie mażemy krwi z serca kurczaka i nie stosujemy żadnych tricków, aby przekonać niedowiar-

ków, bo nie musimy tego robić. Gdyby nam chodziło o pieniądze, musielibyśmy robić różne rzeczy na pokaz, żeby zwrócić na siebie uwagę. Nasz przewodnik duchowy może uleczyć chorego jedynie dotykając go palcem, ale nie jest zwolennikiem takich praktyk, bo zaraz by się rozniosło, że czynimy cuda. Wtedy mielibyśmy na głowie władzę, policję, inspektorów podatkowych i kłopoty ze strony uczonych lekarzy, że odbieramy im pacjentów. Mistrz powiada, że nie trzeba, należy leczyć pacjenta spotykając się z nim dwa lub trzy razy.

1
r

Juan Sadik nie ma kłopotów z prawem. Grupa jest zarejestrowana jako towarzystwo obywatelskie, nie pobierające honorariów, wyłączenie dobrowolne datki na leki dla ubogich. Lekarstwa robią sami na bazie ziół według recept i technik podyktowanych przez Mistrza. Śmierć nie martwi Juana. Wierzy w teorię cyk/ów ewolucyjnych: dziesięć w ogólności, co siedem lat jeden. Życie zamyka się zwykle około siedemdziesiątki, a śmierć to nic innego jak koniec cyklu. Przedstawia taki oto niezwykły układ ezoteryczno-geometryczny:

Zależymy od trójkąta równobocznego, w którym zamknięta jest cała mądrość. Na jednym wierzchołku mamy narodzenie, na drugim życie, na trzecim śmierć. Innym sposobem rozważania tego trójkąta jest pojęcie jednego

wierzchołka jako Boga Ojca, drugiego jako Syna Bożego, trzeciego jako Ducha Świętego. Czyli jest to ten sam cykl stworzenia widziany w inny sposób. Dla nas śmierć jest niczym innym jak tylko odrodzeniem w życiu duchowym. Człowiek nie przychodzi na ten świat, aby zdobyć mądrość a potem zniknąć. Wszystko jest ewolucyjnym cyklem ciągłego doskonalenia się. W tym samym trójkącie można widzieć inną troistość: inteligencję, świadomość i pamięć. Życie fizyczne oczywiście pozostaje tutaj, ale mądrość się nie kończy. Kiedy ktoś umiera, przechodzi w stan, w którym nie potrzebuje już niczego w sensie materialnym. Zwykle jego duch przechodzi w chwilowy odpoczynek i oczekuje na nową możliwość reinkarnacji, ponieważ znajduje się w cyklu ewolucyjnym. Im bardziej walczy o siebie, tym lepiej się rozwija. Wielu z nas dana jest możliwość powrotu, abyśmy mogli naprawić coś, co uczyniliśmy nie będąc rozsądnymi. Naszą misją jest miłość. Sam pytałem, w jaką materię byłem wcielony w moim poprzednim życiu, i wiem, że byłem kupcem w Limie w minionym wieku. Powiedziano mi nawet, ile lat miałem, kiedy umarłem, ale nie jest możliwe, aby duch zachował wszystkie wspomnienia, ponieważ bardzo by cierpiał. Proszę sobie wyobrazić, że ktoś był królem, a teraz musi zarabiać na chleb i podlega nowym władzom. Albo że w poprzednim życiu był mordercą i go ścięto. Mózg działa na podobieństwo taśmy magnetofonowej, na której ktoś nagrywa to co go interesuje, ale nie ma wspomnień. W każdym razie w królestwie duchowym nie istnieje

[pojęcie czasoprzestrzeni. Na przykład dwa lata dla nas tutaj może znaczyć dla ducha czas odpoczynku, tyle co parę minut kosmicznych. W ciągu tych minut ktoś może uczyć się w jednym z ośrodków studium, istniejących w świecie duchowym. Mistrz Amajur stworzył je tutaj jako kopię tamtych i dlatego jest inny od wszystkich i nie jest dogmatyczny. Jest to jak szkoła, do której się chodzi i ten kto się uczy, przejdzie do wyższej klasy, a ten kto nie, powtarza. Znów się reinkarnuje, aż osiągnie doskonałość. Mistrz sam chciał reinkarnować, ale nie pozwolili mu na to jego przełożeni. W świecie duchowym wszystko jest tak zorganizowane, że nie potrzeba władzy ani policji, ani żołnierzy. Rządzi nami nasza własna świadomość. Jest to świat równoległy do naszego. Tam najważniejsza jest jiwolna wola i ten kto się chce rozwijać i doskonalić, robi postępy i przechodzi na wyższy szczebel i odwrotnie, kto nie chce stać się lepszym, nadal przechodzi reinkarnację i żyje sobie w zadowoleniu ze swymi cierpieniami i niedostatkami.

Frankomasonerię, pojęcie Boga i Chrystusa, wiarę w reinkarnację — Juan Sadik — podobnie jak inni nawiedzeni i uzdrawiacze w Ameryce Łacińskiej — miesza, ale w sposób dość rygorystycznie wyrozumowany. Jak można pogodzić wiarę w Chrystusa z Amajurem u boku?

Bo on dla nas nie jest bóstwem katolickim tylko przewodnikiem, Mistrzem. Interesuje nas jego życie

i działalność, a nie on. Jest naszą gwiazdą nauczania duchowego. Bierzemy z niego to wszystko, co pozostawił, jego dzieło. Chcielibyśmy pójść za śladem tego, co on zostawił — on miał władzę nad materią — powiedział do Łazarza: „Wstań” i rozmnożył chleb, aby *nakarmić* głodnych. Jego dzieła uczymy się i naśladujemy, a nie tych dogmatycznych nauk, do których używają Chrystusa księża, którzy w rzeczywistości są owymi przekupnikami ze świątyni. Oni uczą religii o kimś, kto był istotą ludzką. A dla nas jedyną religią jest Ojciec, początek. Uczynił z niego przykład, ale zamienia się go w świętego, a w świecie duchowym nie ma świętych. Kiedy przychodzą do nas rabini czy księża, nie rozmawiamy o ich religiach ponieważ jesteśmy ludźmi szanującymi się wzajemnie i nasze sposoby zdobywania wiernych. Tutaj obowiązuje podstawowa максима: „Przygotowuj siebie, abys mógł siebie zrozumieć”.

Para mediumistyczno-znachorska z Cuernavaki funkcjonuje tak samo jak ci wszyscy, którzy uprawiają medycynę, nie troszcząc się o brak dyplomów lekarskich. Nie obawiają się gróźb ze strony policji czy lekarzy, gdyż mają swoich bardzo wysoko postawionych protektorów, których jedno słowo chroni przed sędziami i komisarzami. Niejednokrotnie szukają u nich pomocy sami lekarze, lub też wysyłają im własnych pacjentów z nieuleczalnymi dla oficjalnej medycyny

chorobami. Juan Sad/k opowiada z najwyższą pewnością siebie, że jedną z najważniejszych działalności jest udzielanie rad— za pośrednictwem i na marginesie zwykłych zajęć Mistrza Arna jur a — siostrze prezydenta republiki Luisa Lopeza Portillo, Margaricie Portillo, dyrektorce kontroli komunikacji audiowizualnej Meksyku. Oczywiście byli zaproszeni do rezydencji Los Pi nos, gdzie rozmawiali z panem prezydentem, jego żoną, dziećmi i dołą Margaritą.

Stąd ta pogarda dla biednych lekarzy, którzy przez dziesięć czy dwanaście lat studiowali i praktykowali w różnych klinikach, aby w końcu stwierdzić, że choćby czynili największe wysiłki, nigdy nie dorównają — jeśli wierzyć Juanowi Sadikowi — sprzymierzonym z istotą z innego wymiaru, taką jak Mistrz Arna jur. Mistrz nigdy nie traci okazji, żeby ich w tym przekonaniu utrzymywać, a jego dobry uczeń przypomina lekcję, jaką dał — oczywiście używając postaci fizycznej Lilli Sadik — uczestnikom jednego z kongresów zjawisk paranormalnych, których jest już tak wiele w Meksyku:

Pracowaliśmy tam w obecności badaczy, naukowców i każdy pacjent przybywał ze swymi lekarzami, którzy przynieśli ich karty chorobowe. Pewien chłopiec miał trójkątną siatkówkę i widział podwójnie, lekarze stwier-

dzili, że nie ma na to rady. Mistrz rzekł, że zaraz go zoperuje. Położyliśmy chorego na biurku, bo nie było ani sali operacyjnej, ani stołów i operacja została zrobiona przed kamerami telewizyjnymi i kinowymi, wyposażonymi w promienie podczerwone — posługiwali się nimi japońscy i rosyjscy asystenci. Mistrz poprosił o wygaszenie światła i filmować mogli tylko ci, co byli zapobiegliwi i mieli filmy do zdjęć w podczerwieni. Kiedy skończył, tampony z waty były pomazane krwią. Powiedział, żeby zbadano oko chorego, który widział już normalnie, i kiedy lekarze zapytali, co czuł, odpowiedział: „Nic nie czułem, bo mnie znieczulono”. „A skąd wiesz, że cię znieczulono?” „A bo miałem już dwie operacje i wiem, co to jest anestezja.” Musieli uznać to za fakt, bo wszystko było oczywiste. Na tym samym kongresie była operowana pewna pani chora na raka. Wiele mamy takich przypadków. Teraz pewna pani z Cuautli ucęszcza do Mistrza. Lekarze zobaczyli, że rak zaatakował wszystkie organy i tylko ją zaszyli. Mistrz od sześciu miesięcy leczy ją ziołami i jadem pszczelim. Wskazuje, gdzie powinna być ukłuta. A jeden z naszych najstynniejszych przypadków to uleczenie siostrzenicy doktora Vaza. To jest nasz ostatni żyjący bohater — bohater rewolucji meksykańskiej, wielka osobistość w życiu politycznym i doktor medycyny. Ta pani nie mogła chodzić z powodu osunięcia się kości ogonowej. Też została wyleczona przy pomocy ukłuc pszczół.

W każdy piątek w ogromnej sali, podobnej z charakteru do świątyni protestanckiej lub salonu łoży masońskiej, odbywają się „wykłady”, uzdrowienia i bohaterskie czyny chirurgiczne. Dzisiaj ośrodek „Luz y Entendimiento” ma już około stu wiernych w Cuernavaca. Około siedemdziesięciu — pośród nich jeden rabin i jeden ksiądz — uczestniczą regularnie w seansach. W Meksyku działają trzy inne grupy po około czterdzieści osób o różnych zainteresowaniach i pozycji ekonomicznej. Jedna z nich ma swoje miejsce w dzielnicy milionerów Lomas de Chapultepec. Rzecz dziwna: małżeństwo Sadikowie nie chcieli wciągać swych dzieci w swój świat magiczno-re/igijny, który im wypełnia życie. Juan wyjaśnia:

Mam instrukcje od Mistrza, abym dał im swobodną młodość, bo młodość jest tylko jedna. Kazać im się uczyć teraz, to zamknąć ich w więzieniu. Ta misja, jeśli się ją przyjmie, nie da ani odpoczynku, ani swobody.

Patrząc na ich rozjaśniony dom pełen kwiatów i roślin tropikalnych, myśląc o władzy i bogactwie ich pacjentów, dochodzi się do wniosku, że państwo Sadikowie zdoła/i stworzyć tu swoje królestwo tego świata.

PACHITA

Medium z El Arenal w mieście Meksyku (chirurgia magiczna)

Któregoś dnia Maman Loi przerwała swą opowieść w pół zdania. Posłuszna jakiemuś tajemniczemu nakazowi pobiegła do kuchni i zanurzyła ramiona w rondlu pełnym wrzącej oliwy. Ti Noel zauważył w jej twarzy wyraz zimnej obojętności, a co dziwniejsze, gdy wyjęła ręce z garnka, nie było na nich pęcherzy ani śladu oparzenizny, mimo straszliwego skwierczenia oliwy, które przed chwilą słyszano.

Alejo Carpentier

To co znajdowała ręka w: Królestwo z tego świata, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975

Naprawdę nazywała się Barbara Guerrero Salas i umarła w wieku około osiemdziesięciu lat w 1979 roku. Należała do rasy białej, miała piękną

twarz. Nie udzielała wywiadów, stroniła od dziennikarzy i reklamy. Informacje o niej pochodzą od znanej aktorki filmowej i telewizyjnej, asystentki Pachity przede wszystkim, oraz słynnej medium Rosity Va/adez, najpierw jej pacjentki, potem pomocnicy, a także ludzi, którzy zosta/i wyleczeni z ciężkich chorób. Sama Pachita twierdziła, że jest analfabatką, ale nieraz przytapywano ją na czytaniu gazet. Jej sława sięgała daleko poza Meksyk — leczyła Amerykanów i Europejczyków, była chętnie przyjmowana w pałacu prezydenckim Los Pinos za kadencji prezydenta Luisa Echeverrii, gdzie dokonywała swych niezwykłych operacji. Leczyła przy pomocy naparów z ziół — znała doskonale medycynę indiańską — maści, olejków, ekstraktów ziołowych oraz operując zwykłym nożem kuchennym z drewnianą rączką. Była medium Istoty Światła... ostatniego władcy imperium azteckiego Cuauhtemoca \ któremu użyczała swej cielesnej powłoki, aby mógł się zmaterializować. Objawił się Pachicie podczas snu i przemówił jej własnymi ustami: „Jestem Cuauhtemoc”. Od tamtej chwili zaczęła

¹ Ostatni władca imperium Azteków (1495?—1525), siostrzeniec Montezumy II. Pomimo bohaterskiego oporu został pobity przez Cortesa. Uwieczony w 1522 roku, nie zdradził, choć był bestialsko torturowany (przypiekano mu stopy), miejsca ukrycia królewskiego skarbcza — nie odnalezione do dzisiaj. Powieszony w trzy lata później, (przyp. tłum.).

leczyć ludzi, tak jakby czyniła to przez całe życie. Chorych operowała natychmiast po postawieniu diagnozy albo przygotowywała, podając im lekarstwa przyrządzone przez jej synów. Otrzymywali oni recepty z rąk Braciszka Cuauhtemoca, zaraz po zbadaniu pacjentów, a następnie odczytywali je. Przed operacją chorzy przynosili prześcieradło, litr spirytusu i bardzo szerokie bandaże. Mówi aktorka:

Operowani bardzo cierpieli. Nic nie było do uśmierzenia bólu. Po prostu cierpieli i stale w domu rozlegały się jęki i krzyki. Pachita uspokajała ich kładąc im rękę na czole. Mnie operowała w listopadzie 1976 roku. Byłam chora na raka płuc, wycieńczona leczeniem. Pewien człowiek, bardzo ważna osobistość z Monterrey, powiedział mojej matce, że trzeba mnie zawieźć do Pachity, ona mu zoperowała nerki. Przygotowywałam się przez piętnaście dni pijąc jej lekarstwa. Potem, nocą, kazała mi się położyć na brzuchu i najpierw zwyczajnym nożem z drewnianym trzonkiem przecięła mi ciało z lewej strony, a potem przepiłowała piłką żebra. Ból był okropny, ale wszystko to działo się bardzo szybko, wydawało mi się, że jakieś trzy, cztery minuty, ale naprawdę kilka godzin. Wyciągnęła mi płuca i podała je mojej młodszej siostrze, która jej pomagała. Potem powiedziała, że jedno płuco mam podziurawione, a drugie całkiem zgniłe. Buchnął bardzo brzydki zapach. Pachita miała znajomego lekarza.

który czasem przynosił jej różne organy, ale, jak później widziałam, materializowała je w powietrzu zwykłym wyciągnięciem ręki. Moja siostra mówiła, że zanim włożyła mi nowe płuca, dała jej do potrzymania — wydały jej się podobne do rybich filetów, były bielutkie i miękkie. Potem zoperowała mi serce, zmieniła aortę. To już sama widziałam. Przewróciła mnie na bok i otworzyła nożem ciało przy lewym ramieniu. Mam jeszcze małe blizny, podobne do kresiek, jakby to były zadrapania, i w tym miejscu skóra jest bardzo wrażliwa. Straciłam dużo krwi. Usłyszałam, jak zawołała: „Plazma!” Potem poczułam ukłucie. Przyszedł jej syn, położył swoje ramię na moje i dał mi krew. Potem owinęła mnie w bandażę i prześcieradło. Wszystko było zalane krwią. Zanieśli mnie do pokoju, gdzie odpoczywali operowani. Leżałam tam przez godzinę. Czułam, jak pieką mnie rany i szybko się zamykają. Teraz mogłam oddychać i mąż mi powiedział, że mam już rumieńce. Pomyślałam sobie, że znalazłam się tutaj nie bez powodu i moim przeznaczeniem jest już tu pozostać. Pachita nie chciała ode mnie pieniędzy, ale dałam jej dwa tysiące pesos (około siedemdziesięciu dolarów). W klinice zapłaciłabym ze sto tysięcy i jeszcze ile bym się nacierpiąta. Z domu Pachity poszliśmy z mężem kupić coś na kolację. Był przestraszony, nic nie rozumiał i nie chciał przyglądać się operacji. Ludzie tacy jak on, nawet kiedy widzą, nie wierzą. Pachita śmiała się z nich i czasami chwytąta ich rękę i wkładała im do ciała aż po same łokcie, ale niektórzy nawet i wtedy nie wierzyli. Dla mnie ta operacja znaczyła

nie tylko życie, ale nowe życie. My wszyscy, którzy pomagaliśmy Pachicie, byliśmy kiedyś operowani przez Braciszka. Po trzech dniach od operacji, tyle właśnie trzeba było leżeć, zdjęłam prześcieradło i bandażę, wzięłam prysznic i poszłam do pracy do teatru. Jeszcze tylko musiałam pić jakiś czerwony płyn, który ona przyrządziła z ziół, wlewała w duże butelki i dawała swoim pacjentom. Piło się to jak wodę. Wyzdrowiałam i bardzo się zmieniłam. Czułam, że uczestniczę w czymś, co nie wszystkim jest dane. Braciszek często ofiarowywał nam prezenty — kiedyś zwykłą monetę zamienił w medalion z wizerunkiem Cuauhtemoca, innym razem moneta zamieniona w medalion z jednej strony miała wyrzeźbioną boginię [miłości, a z drugiej kalendarz aztecki.

Stosunki z Braciszkiem nie zawsze były idylliczne, jak wspomina aktorka oraz osoby będące jego asystentami. Wpadał w furję, kiedy nie wierzone w jego operacje, bowiem lubił szczycić się swymi umiejętnościami, szczególnie w obecności lekarzy chirurgów oraz parapsychologów. Kiedyś na oczach trzech specjalistów, cudzoziemców, wykonywał operację ucha: wbił nóż w miejsce za uchem, włożył w ranę rękę i przemieścił jakieś kości. Zanim skończył pracę, zwrócił się do Amerykanina, krzyżąc: „Uważasz to za łgarstwo? No więc, dobrze! Kładź się, potrafię otworzyć ci klatkę piersiową, wyciągnąć serce, dać do

potrzymania i znów włożyć na swoje miejsce!" Gringo uciekł przerażony. Inny Amerykanin z Huston widząc, że pisze dla niego receptę, poprosił, żeby go jednak zoperował. Na to Cuauhtemoc: „Nie, bo masz w nodze gwóźdź, jeśli go wyciągnę, powiedzą, że uczyniłem coś niewłaściwego, a ja się nie bawię w takie rzeczy". Asystenci Braciszka twierdzą, że widział, co dzieje się wewnątrz człowieka i stawiał diagnozę, nie znając symptomów choroby.

Doktor medycyny Salvador Va/adez — mąż Rosity, która była pacjentką Pachity, a potem sama uzdrawiała ludzi — zdecydowany wróg nauk ezoterycznych i medycyny paranormalnej, sam został wyznawcą Braciszka, kiedy zbadał organy, jakie otrzymywał z rąk Pachity podczas dokonywania różnych operacji. Stwierdził, że były prawdziwe. Oto jego wypowiedź:

Leczyliśmy pewną kobietę, kulawą od urodzenia — miała jedną nogę krótszą o dziesięć centymetrów, nastąpiła deformacja kręgosłupa i nie mogła chodzić. Braciszek swym kuchennym nożem przeciął ciało na wysokości bioder i powiedział: „Cięgnij krótszą nogę tak, żeby zrównać ją ze zdrową". Usłuchałem go, wyciągnąłem nogę i Braciszek dokończył operacji. Kobieta wyszła z domu nie kulejąc, za to krzyczała z radości.

Rosita dodała, że w jej obecności Braciszek dokonał podobnej operacji, z tą różnicą, że

wszczepił pacjentowi kawałek kości, którą zmateralizował... tak po prostu wyciągając dłoń.

Trudno powiedzieć, jakie były najbardziej widowiskowe operacje Braciszka. Nie istniały d/ań żadne ograniczenia — ani magiczne, ani racjonalne. Otwierał i zamykał serca, chwycił wątrobę i naprawiał ją jak zepsute narzędzie, ciął swym legendarnym kuchennym nożem oczy, uszy, genitalia, nerwy, żyły, ścięgna. Wspomina moja przyjaciółka aktorka, świadek / asystentka Cuauhtémoca:

Chorych na oczy Pachita sadzała na krzesło, wbijała mózgi i wkładała palce do środka. A w Chihuahua dokonała czegoś wielkiego: ślepemu dziecku dała nowe oczy. Jakież to cudowne patrzeć na twarz tych, którzy zaczynają widzieć! Albo operacja uszu głuchoniemego. Nigdy tego nie zapomnę: trzymałam choremu głowę i widziałam, jak ona wbiła mu nóż w uszy, a potem rozkazała: „Mówcie do niego, krzyczcie, ma na imię Pepe”. I wszyscy zaczęli wołać: „Pepe, odpowiedz, słyszysz mnie? Odpowiedz, Pepe!”. Braciszek wiercił nożem w uszach tak długo, aż Pepe nas usłyszał i zaczął bełkotać, bo oczywiście biedaczek nie nauczył się mówić.

Cuauhtemoc zajmował się wszystkimi możliwymi przypadkami wymagającymi operacji: robił punkcje, aby wyciągnąć wodę z płuc, trans-

plantował rdzeń kręgowy. Pewnemu człowiekowi, który osiem lat spędził na wózku inwalidzkim, zrobił siedem przeszczepów rdzenia: teraz pacjent jest zdrowy i chodzi sobie swobodnie ulicami Meksyku. Przeprowadzał rozmaite operacje kręgosłupa, żeby wyleczyć rwę kulszową, paraliż, kulawe nogi. Braciszek ciął z góry na dół w określonym miejscu, wydtubywał nożem uszkodzony kręgi, wyciągał nowy z butelki z płynem trzymanej przez pomocnicę albo po prostu materia/izował go ruchem ręki i wkładał we właściwe miejsce, upychając trzonkiem noża. Jakież uszkodzenia kręgosłupa albo odrzucenie przeszczepu? Takich problemów w ogóle nie było w tej medycynie. Trzeba dodać, że wszczepiane kręgi nie zawsze były ludzkie, niekiedy pochodziły od psów albo jeleni. Koniec operacji zawsze wyglądał tak samo: Braciszek wylewał litr spirytusu do rany, potem nakładał suchą watę lub umoczoną w spirytusie i robił szew łącząc dłońmi rozciętą tkankę. Czasami zszywał skórę używając zwykłej igły i nici krawieckich jakiegokolwiek koloru prócz czarnego. Potem zakładał bandaż i owijał pacjenta w prześcieradło. Nie wolno było dotykać zakrwawionych bandaży ani prześcieradła przez trzy dni — zeskorupiała krew odchodziła razem z bandażami i zostawała sama blizna. Prymitywna technika dokonywanych operacji nie przerażała

wyznawców Braciszka — a nawet wszyscy świadkowie utrzymują, że nigdy nie było żadnego zgonu. Jedna z asystentek wspomniała, że w dwu przypadkach trzeba było ożywić chorych, bo „odeszli”, ale przyczyny nie były fizyczne lecz duchowe. Całkowity brak higieny i narzędzi chirurgicznych? Tak, ale nie jest to medycyna konwencjonalna. A operowanie tylko przy blasku świecy? Oczywiście, przecież światło było powodem wielu zejść śmiertelnych w klinikach. Pachita tak to tłumaczyła: „Organy ciała są ślepe jak krety. W szpitalach, kiedy lekarze przecinają skórę i operują w mocnym świetle, niszczą wszystko w środku, oślepiają organizm i zabijają go”.

Kobieta, która przybyła do miasta Meksyku z Chihuahua, aby użyzyć swej materii ostatniemu władcy Azteków posiadała wiele domów, firm, a nawet kino w stolicy jednej z prowincji. Była hojna i nie dbała o pieniądze. Pomagała swym ulubieńcom, Indianom Córa ze stanu Nayarit — podobno oddawała im cały swój zarobek. Odwiedzała ich często, brała udział w obrzędach i tańcach sakralnych, podczas których bogowie napełniają energią i siłą astralną. Z biegiem lat czuła się coraz bardziej samotna, pomimo ubóstwienia ze strony zwykłych ludzi, a także sławnych gwiazd. Kiedyś uratowała zgangrenowaną nogę przyjaciółce słynnego piosenkarza Roberta Car-

losa i Brazylijczyk, ilekroć przyjeżdżał do Meksyku na występy, zawsze odwiedzał Pachitę, aby asystować jej przy operacjach. W sierpniu 1978 roku oznajmiła swym asystentkom i dzieciom, że jej posłannictwo jest skończone: „Powiadomili mnie, że muszę odejść”. Mówi aktorka:

Nie uwierzyliśmy jej, bo nic się nie zmieniła i dalej operowała. A jednak zauważyliśmy, że zaczyna opadać z sił. W połowie marca (1977) jej córka zawiadomiła mnie, abym przysłała, bo Braciszek będzie operował Pachitę i potrzebna jest energia wszystkich asystentek. Otoczyliśmy łożko, jeden z najstarszych asystentów pomagał w operacji. Wcielony w nią Braciszek tym samym nożem dokonał operacji przeszczepienia nerek oraz transplantacji ramienia. Przez parę dni czuła się dobrze, ale potem zaczęła słabnąć. Jej śmierć była nieunikniona, od chwili kiedy nam o niej powiedziała, i ta operacja nie była już potrzebna. Wysyłano do niej lekarzy, a pewna bardzo bogata pani zabrała ją do najdroższej kliniki — dostała osobną salę. Ale Pachita zmusiła dzieci, aby ją stamtąd zabrali. Umarła w straszliwej agonii, nawet nie miała sił, żeby wezwać Braciszka. Spełniła swoje posłannictwo i musiała połączyć się z Braciszkiem, już na tamtym świecie. Pochowano ją w grobowcu jej możnej, przyjaciółki na cmentarzu Jardines de Recuerdo (Ogrody Wspomnień) na północy miasta Meksyku.

Enrique, starszy syn Pachity, sprzedaje teraz robione przez siebie leki, ludzie spodziewają się po nim następcy. Ale on, choć zna tajemnicę leków swej matki i właściwości ziół, nie został obdarowany Łaską, nie posiada tego daru i nie może uczynić ze swego ciała, materii dla Braciszka Cuauhtemoca.

ROSITA

Mentalistka z Linda Vista (Meksyk)

Kiedy czuję , że zwymiotuję królika, wkładam do ust palce, otwarte niby obcęgi, i czekam, aż poczuję w gardle ciepłe futerko, które wznosi się jak banieczka wody sodowej. Wyjmuję palce z ust, a między nimi trzymam za uszy białego króliczka. Króliczek ma zadowoloną minę, jest to pyszny zdrowy króliczek, tyle że malusieńki, wielkości tych czekoladowych, ale bielutki i zupełny króliczek.

Julio Cortázar

Julio Cortazar - - *List do znajomej w Paryżu w: Opowiadania zebrane,*
Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977

Widziałam w ludziach dziwne rzeczy: w nocy światła, **a** w dzień ich szkielety. A zaczęło się to, jak zachorowałam. Najpierw miałam wrzód, potem raka z przerzutami w ner-

kach, wątrobie, dwunastnicy — cała byłam schorowana. Mąż chodził ze mną do lekarzy, swoich dawnych wykładawców. Brałam wiele leków, aż szkodziły mi, a najbardziej zniszczyły mi nerki. Wiedziałam, że życie ze mnie uchodzi i powiedziałam rodzinie, że chciałabym pojechać na Filipiny, bo skoro nauka już nic nie potrafi, to już tylko pozostają mi te Filipiny. Wierzyłam, że tam się wykuruję, bo to ośrodek uzdrowień spirytualnych, mają tam pewną leczniczą roślinę, no i operacje robi słynny Tony Agpaoa. Byłam już w biurze podróży, żeby zarezerwować bilety i wtedy kuzynka mi powiedziała, że wcale nie muszę wyjechać aż tak daleko, bo w Meksyku jest pewna osoba, która mnie wyleczy. Mówiła o Pachicie. Najbardziej zdziwiło mnie to, że zobaczyłam u niej mnóstwo ludzi i wcale nie byli to prości nieoświeceni ludzie, ale wielu po studiach, a nawet polityków i znanych artystów. Zdziwiłam się jeszcze, bo ona miała na sobie ubiór Cuauh-temoca, twarde od zakrzepłej krwi — to z tych operacji, jakie robiła. Powiedziała mi, że będzie mnie operować, tylko musimy poczekać na jelito. I czekałam aż dziesięć dni.

Pokój był zaciemniony, ona poprosiła o nożyczki, a potem nacisnęła mi pachwinę, a ja aż podskoczyłam z bólu. I zaraz zaczęła ciąć takim zwykłym kuchennym nożem z drewnianym trzonkiem. To było straszne, krzyczałam i płakałam z bólu. A ona powiedziała: „Poczekaj, maleńka, teraz będzie najgorzej”. Wycięła mi jelito, wyciągnęła coś z naczynia z wodą i wepchnęła mi do środka.

Potem poprosiła o butelkę spirytusu i wlała we mnie. Przeraziłam się, ale jak tylko poczułam, jak wlewa mi ten spirytus, było to niczym balsam, oczywiście sama rana mnie bolała. I kiedy oddaliła ręce, zaraz ból minął. Ale przedtem złączyła palcami brzegi skóry i położyła na nie tampony umaczone w spirytusie. W salce, gdzie leżeli zoperowani, zauważyłam pewną aktorkę filmową, która zapytała mnie, jak ja się czuję. „Ano dobrze, po tym, ile się nacierpiałam”. Ona miała operowany kręgosłup. Pachita wymieniła jej kręgi. Zapytała mnie, co ja o tym wszystkim myślę i czy to było naprawdę. I wtedy spojrzałam na prześcieradło i ono było całe poplamione krwią. To znaczy, że tak. Och, jak się wtedy obie bałyśmy. Bo ani ona, ani ja nie bardzo wierzyłyśmy w to wszystko. Po trzech dniach zawieziono mnie do domu. Kiedy wchodziłam po schodach straciłam równowagę i znów się źle poczułam, jeszcze gorzej niż przedtem. Byłam zrozpaczona, nie wiedziałam, co robić, bo skoro operacja się nie udała, to powinnam pojechać na te Filipiny. Wieczorem poszłam do Pachity i powiedziałam, że spadłam ze schodów. „Co za nieszczęście, jesteś otwarta w środku. Zrobimy ci operację kręgosłupa. Przyjdź później, wymienię ci dwa kręgi.” Tym razem poszedł ze mną mój mąż, który absolutnie nie wierzył w takie rzeczy. Położyli mnie na łóżko i ona zoperowała mi ten kręgosłup. Tak samo jak przedtem wbiła mi nóż, ja znów krzyczałam z bólu. Było jeszcze gorzej, jak wyrywała mi te kręgi. Potem siłą wepchnęła dwa nowe, wbijała je trzonkiem noża. I to jest

ta cudowność świata parapsychologicznego. W świecie rzeczy fizycznych jak się komuś przetnie rdzeń, to będzie sparaliżowany, ale w świecie astralnym, duchowym, nie ma takiej samej logiki. Mój mąż był obecny podczas całej operacji, ale oczywiście w ciemnym pokoju oświetlonym tylko blaskiem świecy stojącej w kącie niewiele mógł widzieć. Po operacji znów wlała we mnie litr spirytusu i musiałam leżeć godzinę, żeby przyjść do siebie. Potem na własnych nogach poszłam do samochodu, ale na schodach to już musieli mnie wnieść. Jelito nie pracowało i przez dwadzieścia pięć dni nie było stolca. Mówię to dlatego, żebyście popatrzyli na mnie teraz. Widzicie? Jestem i żyję, a to znaczy, że cuda istnieją. W zwykłych przypadkach operowani przez Pachitę po trzech dniach zrywali bandażę, w ciągu miesiąca całkiem zamykała się rana, a po trzech pozostawała tylko brązowawa linia. A ze mną nie. Wciąż miałam ciało otwarte. Niedługo potem Pachita powiedziała: „Zrobię ci operację nerek, bo nie pracują”. I znów mnie przekrajała. Jaki straszny ból! Najpierw zimno i poczułam coś twardego i wyjęła mi nerkę, potem jakby mnie gniotła od wewnątrz. Jak ja płakałam, Panie Najświętszy! Zadzwoiła do mnie do domu i zapytała, jak ja się czuję, a mnie strasznie, strasznie bolała nerka. Powiedziała mi, że to dlatego, bo Braciszek wyjął mi nerkę. „Żebyś ty wiedziała, nerka była czarna, miała niedobry zapach, to był rak. Ale nie przejmuj się, on ci da drugą nerkę, potem”. Ja nie *tracUam* wiary. Byłam bardzo cierpliwa. Miałam aż trzynaście operacji. Niektóre

były powtarzane, na przykład operacja kręgosłupa i nerek, bo wymienili mi obie nerki, i cewki moczowej. Kiedyś po jednej operacji zasnąłam. Spałam jakieś trzy godziny 1 nagle usłyszałam głos: „Obudź się.” Patrząc, a tu w drzwiach mojego pokoju stoi Cuauhtemoc. Poczulałam ogromną radość, bo już wiedziałam, że znajduję się pod jego opieką. Uśmiechnął się do mnie. Miał bardzo białe zęby, jak perły, tkliwe spojrzenie, wielkie oczy, był ciemny, widziałam jego brązową skórę. Nosił pióropusz i pelerynę. Szedł prościutko do mojego łóżka, ukląkł i zaczął lekko ugniatać moją ranę aż zasnąłam. Rano zauważyłam na łóżku medalion z jego wizerunkiem i zapytałam rodziny, *¿fXo* mi to przyniósł. Ale powiedzieli, że nikt nic nie przynosił. Pokazałam Pachicie, a ona na to, że Braciszek nigdy jeszcze nie dał nikomu tak pięknego upominku, a on często obdarowywał ludzi, i nawet chciała go ode mnie pożyczyć. Bałam się, że mi nie odda i zaproponowałam, że pójdziemy razem do srebrnika, żeby zrobić dla niej taki sam. Powiedziała mi jeszcze, że nikt nie miał szczęścia oglądania Cuauhtemoca, i znaczy to, że on mnie bardzo lubi, bo wie, ile się nacierpiałam i z wiarą wytrzymałam wszystko. I że jestem jasnowidzącą. Było już tak dobrze. I jak Pachita mówiła, że mnie odwiedzi, zastanawiałam się, czy to ona przyjdzie czy on. Ostatnia operacja była dramatyczna, wtedy operowali mi cewkę. Braciszek położył mnie na desce, którą nazwał jakimś słowem w języku azteckim i przekroił mnie. Ból był tak straszny i ja tak bardzo cierpiałam. Wtedy Braciszek powiedział: „Ta mała

nam się wymyka, odchodzi! Kiedy to powiedział, ból minął, jakie szczęście, bo jeśli umarłam, to znaczy, że śmierć nie istnieje i jest tylko wyzwoleniem z bólu. Tak jakbym opuściła moje ciało i patrzyła w dół na to co się dzieje. Mój syn usłyszał, jak Braciszek krzyknął: „Odeszła!” i z płaczem padł na moje nogi. Widziałam go, zadawałam sobie pytanie, dlaczego płacze. Widziałam także dwoje rąk, jakby kogoś, kogo dawno temu dobrze znałam i te ręce witały mnie. A kiedy zrozumiałam ból moich dzieci, poczułam, że znów wracam do mojego ciała i wróciłam. Otworzyłam oczy i zrozumiałam, że dali mi plazmę, koraminę i robili masaże. Od tamtej chwili wierzę, że śmierć jest bardzo piękna i wszystkim mówię, że nie powinniśmy się jej bać, bo jest to coś najpiękniejszego na świecie, jest to uwolnienie z bólu. Prawdziwe cierpienie jest tutaj, w tym życiu. Ale tylko trochę poprawiło mi się po tej operacji, ciągle jeszcze bolał mnie kręgosłup i nerki. Pachita powiedziała mi, że zrobi już ostatnią operację. Oporządziłam dom, porobiłam zakupy. Ale wtedy Pachita powiedziała, że nie może do mnie przyjść, bo czekają na nią jacyś Kanadyjczycy. Potem nie mogła, bo przyjechali jacyś inni ludzie i znów minęło wiele dni. Byłam zgnębiona, bo najpierw powiedziała, że przyjdzie do mnie, a potem, że mam pojechać do niej. Byłam taka rozczarowana, że nie chciałam widzieć ani jej, ani wizerunku Cuauhtemoca, myślałam sobie, że już nic mnie nie czeka w tym życiu. Płakałam z żalu i bólu, wydawało mi się, że nie mam nikogo na świecie. I zasnęłam. Aż nagle otworzyłam oczy

i ujrzałam Boskiego Mistrza. Stał w drzwiach gabinetu. W pokoju było bardzo jasno. On miał rozłożone ręce i mówił do mnie, żebym się nie spieszyła, bo już jestem całkowicie wyleczona. Obudziłam wszystkich płacząc z radości. Bóle faktycznie minęły niespodziewanie. Wszyscy byliśmy bardzo szczęśliwi. Czułam się inną osobą, czułam wielkie zrozumienie dla ludzi i wielką miłość dla nich. Kiedy już na nic nie czekałam, on do mnie przemówił i dał mi siłę, wyrozumiałość dla innych.

Choroba Rosity trwała osiemnaście lat, okres przebywania pod opieką Pachity trzy lata, w tym czasie zaczęła odkrywać w sobie ów dar.

No bo miałam w sobie jakieś specjalne właściwości. W przerwach między moimi operacjami pomagałam Pachicie, wystarczyło, żebym położyła pacjentowi rękę na głowie i zaraz się uspokajał. Ludzie prosili mnie, żebym z nimi zostawała. Pachita wtedy mówiła, że rozwijają się moje umiejętności. Rzeczywiście, przez te trzy lata, choć ból mi nie mijał, ja się rozwijałam duchowo.

We było to jednak zjawisko natury intelektualnej i nie miało nic wspólnego z jej lekturami. Rosita, podobnie jak inne istoty świata paranormalnego, twierdzi, że co najwyżej przeczytała ze dwie książki o parapsychologii, a wszystko, co wie, zawdzięcza ćwiczeniu swych właściwości.

Doświadczenia nabyte przy Pachicie, wrażenie, że potrafi przekazać dobre samopoczucie dotknięciem swoich dłoni, nakazało jej spróbować leczenia. Pierwszą jej pacjentką była córka cierpiąca na ból głowy.

Czułam, że moje ręce wydzielają wielkie gorąco. Kiedy podeszłam do córki, spojrzałam na wizerunek Boskiego Mistrza i zobaczyłam go uśmiechniętego. Zapytałam córki, czy widzi, że on się uśmiecha, odpowiedziała, że nie. Poczułam wielką radość. Zaraz potem córka powiedziała, że ból jej minął. Było to na pewno połączenie magnetyzmu z promieniowaniem miłości, bo czułam te dwie rzeczy. I rozumiałam, że obie te rzeczy muszą iść w parze, aby można było uleczyć człowieka. Powiedziałam o tym znajomym i zaczęli przychodzić do mnie z różnymi chorobami. Pomyślałam sobie, że skoro on mi pozwolił żyć, powinnam to moje życie poświęcić dla innych.

Dawniej przemieszczałam się bardzo daleko stąd, aby leczyć ludzi, ale teraz na miejscu mam tak dużo pracy, że czynię podróże astralne tylko w przypadkach, kiedy ktoś znajduje się w szpitalu albo nie może się ruszać. Innym proponuję przychodzić do mnie. Tak jest lepiej, bo ludzie wolą widzieć, wtedy bardziej wierzą... Byłam taka szczęśliwa wiedząc, że ludzie mnie potrzebują, więc nocami, zamiast spać, zaczynałam odwiedzać moich pacjentów. Przemieszczałam się i leczyłam. Wędrowałam całą noc przez cały kraj. Rano nie czułam się zmęczona. Siedziałam

w pokoju po ciemku, czasem tylko zapalałam małe światełko, żeby sprawdzić nazwiska ludzi, których miałam leczyć. Czasem przed podjęciem podróży uczyłam się ich na pamięć. Tak robiłam przez dwa lata, ale ostrzeżono mnie, że tracę bardzo dużo energii. Wierzę, że przekazuję miłość. W jaki sposób lecę? Mówię z miłością do ludzkich organów i one mi odpowiadają. Mówię w myślach z miłością. To najlepsza ze wszystkich metod.

Rosita twierdzi, że pracuje myślami i nigdy nie traci swojej osobowości.

Medium jest niczym matowy kamień. Nadchodzi Istota i kamień błyszczy. Ja jednak przez dwadzieścia cztery godziny jestem Rositą Valadez.

W swoim czasie mentalistka Maladez pracowała o wiele bardziej intensywnie niż jej mąż, lekarz. Popołudniami przyjmowała chorych w gabinecie, wieczorami zaś czyniła swoje astralne podróże.

Pamiętam pacjentkę, u której stwierdzono raka piersi. Była bardzo zgnębiona, bo mieli jej robić amputację. Byłam wtedy w podróży z córką i jeżdżąc autobusami pracowałam dla tej kobiety. Po powrocie poinformowała mnie, że jej lekarz nie stwierdził nic w piersi i że guz zniknął.

Wędruję przez kosmos, czuję, że w ciągu paru sekund znajdę się w danym miejscu i jestem tam. To znaczy, że myśl ma siłę no nie? To taka sprawa, że ktoś sobie powie, chcę być w tym a w tym miejscu i jest tam natychmiast. Może dla mnie jest to łatwe, bo mam praktykę. Ja nie błędzę, tylko wędruję tam, gdzie znajduje się mój pacjent. Widzę wszystko: dom, osobę. Ludzie odczuwają moją obecność. Byłam także poza Meksykiem — mam chorych w Kanadzie i San Francisco. Przyjechali do mnie pewni ludzie z Niemiec. Gdyby to było konieczne, mogłabym się przemieścić i tam, żeby ich leczyć. Jeden z nich to lekarz, który dowiedział się o mnie od ludzi, których wyleczyłam tutaj i potem wrócili do Niemiec. Miał chorą wątrobę. Był cztery razy z wizytą i po ostatniej całkiem wyzdrowiał. I wtedy powiedział: „Och, Rosita, piękna Rosita, ja się ożenić z Meksykanką”.

Mentalistka utrzymuje, że zachowanie tego lekarza było zwyczajne. Nie ma nic dziwnego i w tym, że jej mąż zdołał przekonać się o skuteczności jej metod. Po doświadczeniach w sali operacyjnej Pachity przekonał się o istnieniu i dobroczynnym działaniu tej innej medycyny. Koledzy męża mają duże dla niej poważanie i twierdzą, że medycyna wkrótce będzie brała pod uwagę środki z dziedziny parapsychologii oraz techniki ezoteryczne, bowiem środki farmakologiczne i chirurgia to broń o podwójnym ostrzu

— leczą szybko choroby, ale pozostawiają negatywne skutki. Ona sama nigdy nie aplikuje lekarstw innych prócz wody, którą napełnia, nawet z odległości, energią pozytywną. Rosita prowadzi kartotekę swych chorych od 1972 roku, a także zbiera taśmy magnetofonowe, na których pacjenci wyrażają jej słowa wdzięczności. Zawsze interweniuje, kiedy pacjenci lub ich krewni tracą wiarę w możliwości oficjalnej medycyny. Oto wypowiedź pewnego człowieka, który spędzał urlop w Cancun w sierpniu 1977 roku i zachorował— miał bóle brzucha i jelit. Przyleciał do miasta Meksyku prosto do kliniki, gdzie został dokładnie zbadany i poddany leczeniu, ale bez rezultatów...

aż wreszcie pojawiła się Rosita Valadez. Weszła do go pokoju i wyleczyła mnie naprawdę. Nie mam lośtatecznej wiedzy o parapsychologii, znam jedynie niektóre koncepcje. Ale ona weszła i zaczęła ze mną rozmawiać. Powiedziała, żebym się uspokoił, odprężył, skoncentrował i zaczęła mnie leczyć swymi dłońmi. Czuję coś takiego, jakbym oderwał się od swojego ciała, co pomogło jej pracować i zlikwidować obstrukcję jelita, okładnie u wejścia okrężnicy. Kiedy skończyła, poczułem, że powracam do mej materialnej postaci. Myślę, że właśnie w tamtej chwili byłem już całkowicie wyleczony. Nieco później przyszli gastrologdzy, którzy już zdecydowali

o zrobieniu operacji. A po badaniach musieli cofnąć swoją decyzję. Jednak zrobili mi jeszcze jedno prześwietlenie, żeby porównać je ze zrobionymi wcześniej i okazało się, że jelito mam zupełnie czyste. To wszystko dzięki zdolnościom Rosity.

Przykłady można by mnożyć. Niezależnie od tego, czy mentalistka ma takie zdolności czy nie, w tych głosach jest szczerść i głęboka wdzięczność uzdrowionych.

Od tłumaczki

Ulegam pokusie i dodaję jeszcze jedno wyznanie... moje własne. Dopowiem to, czego unikał Jose Cayuela - mianowicie jego bohaterowie odżegnywali się od ubrawiania czarnej magii twierdząc, że „pracują wyłącz - nie z pomocą Boga”, tymczasem istnieje i ten inny, Szatański aspekt znanej nam już z *Wyznań Czarownic* magicznej rzeczywistości. Ponadto moja opowieść będzie może nie tyle bardziej wiarygodna, jak po prostu bliższa, gdyż nie zostałam ukształtowana przez tamtą kulturę i nie obcuję z magią na co dzień, jak to się dzieje w przypadku Latynoamerykanów — niezależnie od ich poglądów na świat, wykształcenia, statusu społecznego, a nawet woli — i potrafię spojrzeć chłodniejszym, acz na pewno zadziwionym okiem zarówno na niezwykle, niepojęte zjawiska, jak i stosunek ludzi do tych żywiołów.

O reprezentancie Szatana, podobno na całą Ziemię, którego chciałam tu przedstawić czytelnikom *Wyznań Czarownic*, słynnym już na świecie czarowniku z Catemaco pisała, przed laty, także pani Elżbieta Dzikowska.

Wróciwszy do pensjonatu, zastałam koleżanki — studentki Narodowego Autonomicznego Uniwersytetu Meksykańskiego (UNAM) — siedzące przed telewizorem. Dobiało końca spotkanie profesorów uniwersytetu, naukowców różnych dziedzin, lekarzy i psychologów z Gonzalo Aguirre z Catemaco, które prowadził sam Zabłudowski, znany reporter meksykańskiej TV, słynny z ciętego języka. Czarownik mówił o Bogu, Szatanie, sposobach leczenia rozmaitych chorób, o rzucaniu złych uroków i odczarowywaniu tychże. Zdziwiło mnie, że choć bohater programu mówił rzeczy w moim przekonaniu raczej absurdalne, zebrani kierowali doń pytania ze śmiertelną powagą i nawet nieśmiało, natomiast ten Zabłudowski odnosił się do swego rozmówcy z niespotykaną u niego uniżonością i szacunkiem. Najbardziej jednak zdumiały mnie informacje o filantropijnej działalności znachora — ufundował w swoim mieście pomnik matki, zbudował centrum medyczne, wyposażył kilka szpitali...

W jakiś czas potem znajomy malarz wiedząc, że wybieram się w podróż po Jukatanie, skontaktował mnie z panią Elsą Aguirre, mieszkającą w mieście Meksyku, córką czarownika. Dzięki temu spotkaniu otrzymałam list polecający do czciciela Szatana.

Catemaco (stan Veracruz) otoczone górami i wzgórzami porośniętymi tropikalną bogatą florą leży nad przepiękną ciepłą laguną o tej samej nazwie. Kolonialne domki, wąskie kamieniste uliczki ocienione pachnącymi krzewami z rojem różnobarwnych ptaków i motyli, luk-

usowe hotele i restauracje, także skromniejsze pensjaty, a do tego fama „miasta czarowników” tworzą jeszcze jeden w Meksyku raj dla turystów. Catemaco to przede wszystkim miasto czarowników. I rzeczywiście; iłowó brujo — czarownik we wszystkich możliwych Odmianach wpada w oczy dosłownie na każdym kroku, panosząc się w nazwach ulic, hoteli, restauracji, łodzi, taksówek, ciężarówek, sklepów detalicznych, magazynów, kiosków z napojami chłodzącymi albo małych Józków z lodami (niektóre z nich: Mała Czarownica, fcarownik, Piękna czarodziejka, Wielki Czarownik, Zaczairowany etc, etc). Można by pomyśleć, i oczywiście tak jest, że w ten to oryginalny sposób dowcipni Meksykanie sprzedają swoje turystyczne atrakcje; malownicze miasteczko, lagunę i baśniowych czarowników na dokładkę, bowiem prócz wspomnianych szyldów również przy każdej niemal ulicy można zobaczyć tabliczkę z informacją; brujo albo bruja oraz imię i nazwisko bądź tylko Imię. Ale do Catemaco nie przyjeżdżają tylko turyści, lecz przede wszystkim pacjenci, a mieszkańcy, choć na pewno Żyją z przybyszów, dalecy są od strojenia sobie żartów, bo to miasto Złego i nie wiadomo, co się zdarzyć może. A może — bardzo wiele, więc lepiej nie spacerować po ichodzie słońca. Wtedy zwykle pojawia się //orona

Rodowód jej sięga czasów Montezumy II. kiedy to przed przybyciem Cortesa zaczęły pojawiać się złowróżbne znaki, obwieszczające upadek imperium. Kobieta w czarnej szacie opłakiwała przyszły los mieszkańców Doliny Meksyku. Natomiast w okresie rewolucji meksykańskiej przybrała postać żałobnej matki, żony, siostry opłakującej śmierć w walce syna, męża albo brata, (przyp. tłum.).

a jak ukaże swą trupią twarz, człowiek umrze ze strachu albo zapadnie na ciężką chorobę. Ona nawet potrafi odebrać pieniądze i nakrzyczeć! A w lagunie czyha Chaneca — wiatr laguny. Straszny pod postacią dziecka o czarnej twarzy. Zamienia krew w wodę, co powoduje śmierć albo powolną utratę sił. Jest niedobra dla rybaków. Dlatego każdy, kto wypływa na połów, musi wziąć ze sobą *copal*.² Kiedy pokaże się Chaneca, a ona zjawia się nagle, trzeba rzucić w powietrze *copal*, ona natychmiast porywa kawałki i zjada. I bardzo się cieszy i nawet, jak chce, spełnia ludziom ich życzenia. Niedobrze spotkać o zmroku zwierzę: psa, ośła albo muła, bo nigdy nie wiadomo, co to jest naprawdę. Mściwe złe moce albo duchy często zamieniają się w zwierzęta i straszą okropnie nierozważnych. A jak się ktoś przestraszy, wtedy bardzo choruje — nie je, nie pije, nie mówi, nie słyszy i boi się. Ulicami czasem chodzi trup bez głowy i blada Xtabay³ i też straszą. Ale najgorzej, jak kto zobaczy tego diabła Gonzalo Aguirre — on biega nocą po ulicach Catemaco pod postacią wieprza i najbardziej straszy ludzi. To największy i najgroźniejszy ze wszystkich czarowników. Pokumał się z samym Szatanem i czyni wiele złego.

Najczęściej spotykaną chorobą u mieszkańców Catemaco jest *espanto* — strach. Wmieście na szczęście działa bardzo wielu czarowników i czarownic, którzy leczą tę

² Żywica niektórych drzew tropikalnych (przyp. tłum.).

³ Indiańska bogini kukurydzy, z czasem, podobnie jak *Ilorona*, zdegradowana do roli pospolitego straszdyła (przyp. tłum.).

dlegliwość, jak i wiele innych. Najpopularniejszym sposobem zwalczania wielu schorzeń jest „czyszczenie jajkiem”. Czarownik lub czarownica wysysa z nadgarstków, czoła i karku pacjenta chorobę, następnie pociera jego ciało *copalem*, skrapia specjalną „wodą siedmiu duchów” i dotyka jajkiem. Czyni wielokrotnie nad szklanką z wodą znak krzyża, po czym rozbija jajko i wlewa je do naczynka, lub też każe choremu roztluc je i włożyć do wody. Jeśli jajko w wodzie jest czyste, wówczas pacjent został uleczony, jeśli nie, kurację należy powtórzyć. Metodą czyszczenia jajkiem leczy się rozmaite choroby: bóle głowy, zapalenie płuc, schorzenia układu pokarmowego, raka i oczywiście najczęściej — *espanto*. Bardzo często jajko „wyciąga” z chorego bezpośredni powód jego niedomagań. Po skończonej kuracji, kiedy już czarownik albo pacjent rozbija jajko, można w nim zobaczyć prócz zwykłego białka i żółtka, patyk, igłę, guzik, kamyk, żyłkę, robaka — zależy co spowodowało chorobę. Wymienione przedmioty naprawdę mogą znajdować się w jajku i nie jest to złudzenie: widziałam w rozbitym przy mnie jajku kłębek włosów. Może zepsuję Czytelnikom wrażenie, ale wolę od razu podać przepis na meksykańskie gusa: do naczynia z roztworem octowym włożyć świeże jajko i pozostawić na kilka godzin. Nie dotykać. Następnie wyjąć bardzo ostrożnie i przez rozmiękczoną skorupkę delikatnie wprowadzić żądany przedmiot i włożyć jajko do zamrażalnika. Po stwardnieniu skorupki rozbić i wlać do szklanki z wodą. Natomiast, w jaki sposób można

włożyć do małego kurzego jajka duży kawał cuchnącego schorowanego organu, na przykład nerkę i wyciągnąć ją po rozłuczeniu skorupki — tego nie wiem.

Catemaco i sąsiadujące z nim miasteczko San Andres Tuxtla od kilkudziesięciu lat słyną z czarowników. Ludzie z melancholią wspominają tych największych, którzy już odeszli: Manuela Carbajala, Ixtepana Utrerę, Pastiana. Pozostawili oni po sobie legendę, podziw i zabobonny lęk. Obecnie też działają czarownicy, ale nie posiadają już takiej mocy. Oprócz Gonzalo Aguirre — bo to największy i najstraszliwszy czarownik spośród wszystkich żywych i umarłych. Ludzie z miasteczka boją się go i nienawidzą, choć nie czyni tylko samych złych rzeczy. Ale to diabeł! Zamieniony w wieprza biega po ulicach i straszy, i rzuca złe uroki. Wiele nieszczęść ściągnął na miasto. A jego szef to Szatan, dlatego ten czarownik jest taki potężny. Wszystko może.

Gonzalo Aguirre przyjmuje w dużej ładnej willi o nazwie „Brinco del Leon” („Skok Lwa” — na bramie widnieje namalowany przez jarmarcznego artystę obrazek skaczącego lwa). Czarownik jest wysoki, dość tęgi, łysy o indiańskich i raczej majowskich rysach twarzy z odległymi śladami cech białej rasy. Podaję mu ów list polecający i zaczyna się nieprawdopodobna rozmowa:

— Nie trzeba cię leczyć, bo jesteś zdrowa, ale jak masz wroga, to tak zrobię, że on umrze nagłą śmiercią. Albo zadam mu ciężką chorobę.

Nie byłam przygotowana do rozmowy z czarownikiem, nie jestem dziennikarką i nie umiem panować nad żywym materiałem. Przyszłam tu tylko z ciekawości i ta moja ciekawość została ukarana. Dałam się zaskoczyć, ponadto towarzyszyli mi dwaj Meksykanie (wykładowcy z U NAM —socjolog i historyk), którzy bardzo nie chcieli poznawać mnie z, w ich pojęciu, najbardziej wstydliwą stroną meksykańskiej rzeczywistości i od początku odradzali mi to spotkanie, a potem, podczas całej wizyty, przerywali moją rozmowę z czarownikiem w momentach, jak sądzili, najbardziej żenujących. Tymczasem pan Aguirre wyraźnie chciał mnie przestraszyć. Ponieważ nie miałam wroga, który zasłużył sobie na tak okrutny los, czarownik zaproponował mi podróż na jeden z pięciu światów. Wcześniej musiałby wzmocnić mój organizm — bo to trudna i daleka podróż, choć trwałaby zaledwie dwanaście godzin. Należało przedtem wypić „taki płyn z rozpuszczonymi witaminami”. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, jeden z Meksykanów oświadczył, że nie mamy czasu, ponieważ jedziemy na Jukatan. Ze swej strony wybrałabym się może na jeden z pięciu światów, gdyby nie konieczność dowyaminizowania organizmu. Ale czarownik nie rezygnował i następnym jego ruchem było zaproszenie mnie na Cerro del Mono Blanco (góra Białej Małpy). Miał tam spotkanie ze swym dobroczyńcą i patronem.

— Kim on jest?

— Nazywa się Adonai. A ja jestem jego reprezentantem na tej Ziemi. Chodź, tam jest jego obraz.

Odsunął kurtynę. Na ścianach pokoju wisały szafki i półki ze słoikami wypełnionymi jakąś ciecżą, suszonymi ziołami i zwykłymi aptecznymi fiolkami, pełnymi pigułek i proszków. W dwu rogach pomieszczenia stały dwa ołtarze, na jednym znajdował się dość duży krzyż z postacią Chrystusa, a na drugim okazała krwistoczerwonej barwy figura przedstawiająca diabła.

— A ja nazywam się Król Pierwszy. Tak kazał Umiłowany Adonai, Przyjaciel. On dał mi moc. Jak będę chciał, to podniosę ciężarówkę. Wroga zamienię w żabę albo osła, albo ozdrowię już prawie umarłego. Tutaj więcej się mnie boją i nienawidzą, a przecież lecę ich za darmo, pożyczam albo daję pieniądze. Tak. Lecę ziołami i witaminami i jeszcze inaczej, ale to tajemne sprawy. Pomaga mi Przyjaciel Adonai i Bóg. Bo ja nie tylko pracuję na szkodę ludzi. Adonai nie jest zawsze taki zły. Tylko czasem. Ale to jego sprawy. On mi kazał pomagać ludziom i także służyć Bogu. Jak zaczynam pracować, to wzywam ich obu: „W imię Boga Najwyższego i Umiłowanego Adonai...” Chyba, że czynię zło, to wtedy wołam tylko Adonai. A to wszystko zaczęło się, jak spotkałem mojego chrzestnego Utrerę, to był wielki czarownik. On mi powiedział, że jestem głupi. Byłem wtedy dzieckiem i często chodziłem głodny. A on wiedział, że ja mam specjalny dar, tylko że nic z nim nie robię. I jeszcze mi powiedział, że mój los się odmieni. Zaprowadził mnie na

figurę Mono Blanco i tam uczyniłem pakt z Szatanem. Ofiarowałem mu swoją duszę na wieczne potępienie w zamian za jego łaskę. Od tego czasu wszystko się zmieniło. Miałem co jeść i miałem pieniądze. Przyjaciół dał mi moc, a ja i tak jeszcze przez wiele lat uczyłem się medycyny. No... zbierałem i uczyłem się właściwości ziół. I jeszcze studiowałem tajemne księgi. Mogę czynić zło i czynić dobro. Na samym początku razem z Adonai czyniliśmy wiele złego. To jest najłatwiejsze. Sprowadzałem okropne bóle na moich wrogów. Teraz z Bogiem i Umiłowanym Adonai czynimy tylko dobro, chyba, że ktoś bardzo mnie zezłości. Czarownicy stąd, z Catemaco, to zazdrośnicy. Próbowali rzucać na mnie złe uroki. Ale nic mi nie mogli zrobić. Ja jestem Pierwszy Król Najsilniejszy. Jednemu odjąłem mowę, drugiego zrobiłem impotentem, a trzeciego zamieniłem w muchę. Sam się przemieniłem w żabę i go zjadłem. Nikt mi nic nie robi, bo ze mną jest Przyjaciół. Nie, nie boję się potępienia, bo przez te czterdzieści lat razem z Bogiem i Adonai uczyniliśmy wiele dobrego ludziom. Przez to już wybawiłem moją duszę. Przecież na świecie zawsze było i dobro, i zło. A czynić dobrze jest trudniej niż czynić źle. Łatwiej zadać komuś chorobę niż ją wyleczyć. Uzdrowiłem takich, co już chcieli umrzeć i lekarze nie wiedzieli, co im dać. Skąd myślisz, że mam tyle pieniędzy? Od ludzi, bo mi są wdzięczni. A daję pieniądze szpitalom, tutaj jest ośrodek zdrowia — wszystko za moją pracę. Mam dziewięcioro dzieci i wszystkie posłałem do szkół i na uniwersytety. Bo ja nie mogłem się

uczyć. Byłem biedny. Niektórzy są już lekarzami. Ale nie znają się dobrze na ziołach i leczą po swojemu. Ja też daję chorym lekarstwa z apteki. Adonai nauczył mnie jakie na co i wiem o pigułkach więcej niż najlepszy lekarz. Czasami robię chorym czyszczenie jajkiem z pomocą białej magii, takiej co to każdy stąd potrafi, albo czarnej magii. Albo każę im opuszczać naszą planetę na pół doby, żeby leczyli się w innych światach. Ja też podróżuję, zawsze można coś nowego obejrzeć i czegoś się nauczyć. A czasem leczenie choroby jest takie, że muszę zamienić się w dzika albo węża. Tak. Odprawiam czarne msze, ale nie często, tylko dwa razy do roku. Taki zrobiłem pakt i to był warunek. A tam, na Mono Blanco, gdzie mieszka Przyjaciel. Ja wiem, ty może byś i poszła ze mną, ale ci dwaj cię pilnują. A on wcale nie jest strasznym, jak nie chce. Uczyniliśmy razem i z Bogiem wiele, wiele dobrego. Jak będziesz o mnie pisać w tej Bolonii to pamiętaj, że o mnie piszą zawsze dobrze. Byli tu już dziennikarze stamtąd („stamtąd”, czyli ze Stanów Zjednoczonych. Tak mówią Meksykanie o kraju swoich sąsiadów), z Francji, z Niemiec, z Kanady. Niektórym to nawet pomogłem w paru sprawach. To jedź już na Jukatan.

Nie pojechaliśmy w tym dniu. U stóp góry Mono Blanco warknęło coś w samochodzie i silnik przestał pracować. Czy była to sprawka Umiłowanego? Noc paliła się gwiazdami wiszącymi tuż nad głową i fruwały roje zielonych *cocuyos* — robaczków świętojańskich. Jeszcze w Catemaco mogłam spisać tę rozmowę i wcześniejsze

opowieści mieszkańców miasta czarowników. Byłam tam przed wieloma laty. Nie wiem, co dzieje się z Gonzalo Aguirre, już wtedy był stary i martwił się, że nie ma godnego siebie następcy. A jaką drogę wytyczyli sobie latynoamerykańscy czarownicy i czarownice i nad czym teraz pracują? W swym ostatnim liście Jose Cayuela, który przebywa w Chile, pisze, że zainteresowani złączywszy swe siły zmierzają do jednego celu... żeby diabli wzięli niejakiego P. Dorzucam i moje ziarenko.

Spis treści

Wstęp.	7
Guga — wróżka z Orrellany.	15
Lourdes — medium z El Paraiso.	35
Regina — jasnowidząca z Chapinero	65
Juan i Lilia — para mediumistyczno- znachorska z Cuernavaki	77
Pachita — medium z El Arenal (chirurgia magiczna).	91
Rosita — mentalistka z Linda Vista.	103
Od tłumaczki.	115